



DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena 60 gr.

Rok VIII

Warszawa, 14 grudnia 1952 r.

Nr 50 (368)

W NUMERZE m. in.:

J. KOPEĆ — Newman w nowym świecie

J. RUTKIEWICZ — Przeciwnie pewnej mentalności

J. DUZYK — Książka o renesansie i humanizmie w Polsce

M. NOWACKI — Spowiedź dyplomaty

T. WIERZBICKI — Walka z podstępny wrogiem

Z. KUTHAN — Dwie książki Adama Scharrera

Dominik HORODYŃSKI

BEZ PRECEDENSU W HISTORII

GDY numer ten wyjdzie spod prasy, w Wiedniu już toczyć się będą obrady wielkiego Kongresu Narodów.

Obrady te z napiętą uwagą śledzić będzie cały świat, gdyż w tym starym naddunajskim mieście podejmą bój o sprawę przyszłości świata uprawnieni przedstawiciele wszystkich narodów. Ludzkość cała wysłała swych przedstawicieli do Wiednia; delegaci narodów będą równocześnie reprezentantami różnych poglądów religijnych, politycznych, filozoficznych i społecznych, różnych kultur i środowisk — łączyć ich będzie jedna sprawa dziś najważniejsza: szczerze pragnienie znalezienia drogi do odprężenia międzynarodowego, do usunięcia zmyru wojny i do utrwalenia pokojowej rywalizacji poglądów.

Dlatego bez żadnej przesady stwierdzić można, że w Wiedniu spotka się cała ludzkość. Nie przybędą tam tylko delegaci sił wojny, delegaci wąskich ośrodków imperialistycznych, które przemocą chcą podporządkować resztę ludzkości swoim interesom. Będą w Wiedniu przedstawiciele narodu amerykańskiego, nie zjawią się natomiast delegaci Eisenhowera, który w tym samym mniej więcej czasie w dalekim Pearl Harbour układa plany dalszego rozszerzenia wojny w Azji; będą przedstawiciele narodu francuskiego, nie będzie delegatów Pinaya, który prowadzi wojnę w Vietnamie i faszyzuje Francję, będą przedstawiciele narodu niemieckiego, nie będzie delegatów Adenauera.

Kongres Narodów pokaże światu właściwy układ sił. Z jednej strony wołę pokoju przyniatającej większości ludzkości — z drugiej wojenne knowania rządzących grup Eisenhowera, Adenauera, Pinaya, de Gasperiego, Tito, Franca, Li Syn-mana i innych.

Kongres pokaże rozwój ruchu pokoju. Pokaże jak najważniejsze zadanie naszego pokolenia — obrona pokoju — zmobilizowało do aktywnej postawy setki milionów ludzi na całym świecie. Pokaże, jak drogą doświadczeń narody konkretnie ujmują sprawę obrony pokoju w swe ręce.

Kongres pokaże wreszcie, że możliwe jest pokojowe rozwiązanie wszystkich dzielących dziś ludzkość konfliktów, a przede wszystkim konfliktów najgroźniejszych: wojny koreańskiej i zagadnienia niemieckiego.

Ruch pokoju rodził się w walce. Od chwili powstania szkalowany był zajadłe przez aparat propagandy sił wojennych. Mimo to w ciągu paru lat stał się najpotężniejszym ruchem w dziejach, gdyż jest nierozdzielnie związany z nadziejami i najgłębszymi potrzebami mas całego świata. Wyrosły z ruchu pokoju Kongres Narodów będzie spotkaniem ludzkości na skalę w historii bez precedensu.

Kongres wielkiej nadziei i Kongres wielkiego ostrzeżenia.

Ostrzeżenia dla wszystkich tych grup i środowisk, które nie liczą się z potrzebami ludów, które zdradzają sprawę narodów. W naszych czasach sprawdziły się wieszczce słowa Słowackiego, który przed stu dziesięciu laty, mówiąc o przyszłym władztwie ludów pisał:

„Ludy, bo wkrótce będziecie jak bogi,
Co rozwiążecie wy w żelaznej dłoni,
To rozwiązane będzie... już na wieki.
A kto odejdzie od was — gdzie się schroni?”

Zadna siła nie powstrzyma potężnego głosu ludzkości z Wiednia. Poprzez najsprawniejsze kordony policyjne i poprzez najgrubsze mury dotrze on do gabinetów ludzi układających plany nowej wojny, by im jeszcze raz przypomnieć, że ci, którzy na rozpętanie nowej wojny się ośmielą, nie będą w stanie znaleźć schronienia w żadnym miejscu świata.



Włoski plakat pokojowy wykonany według obrazu Domenico Purificato

GUILLEVIC

SMAK POKOJU

1

Zakrzepłe fale pagórków,
skał poszarpanych urwiska,
blaski oliwnych gajów:
kto z tego piękna korzysta?

Kto piękno to do rąk bierze
płochliwe — niewypłoszone?
Lekkie, jak pióro, co zdoła
upaść niedostrzeżone...

Pozdrawiam cię, piękno, pozdrawiam
w codziennych pracach i dniach
trwające, rozblyśnięte naraz.

Jesteś młode i świeże,
jak kwiatów kosz,
wniesiony na taras.

Spoczynek — dobrych wieczorów
rozluźnia zmęczone mięśnie.
Gdy śpią jeszcze ciepłe maszyny,
w cieniach szumiących, jak laur,
piękno dojrzewa i szczęście.

Pozdrawiam cię, piękno, w oddechu
dzieci i w matek uśmiechu.
Pokój...

2

Czy, doprawdy, wam się nie zdaje,
że pokój smak ma w swej treści?

Jak chleb, jak owoc,
jak pierwsze zawiązki,
które cierpkość łączą z radością?

Jak niebo, które się wznosić
zaczęło na swoją wyżynę
i może już ofiarować
więcej, niż tylko przejrzyistość?

I smak rzeczy na pół gotowych,
które dopiero nazajutrz
dojrzeją, by istnieć i służyć.
Smak jeszcze bardzo lekliwy,
smak brzasku, który przyjmuje
chał obudzonych dymy?

Smak, którym światło przesyca
widok gałązek leszczyny,
lotek ptaszcica i palców dzieciny,
i rzeczy, o których wicie,
że istnieją w każdej godzinie.
I nadto pokój ma smak
jemu właściwy jedynie.

przełożył Jan Górski

Guillevic, stosunkowo młody poeta francuski, wydał w ubiegłym roku zbiorek wierszy pt. G a g n e r. Wiersze zyskały dużą popularność wśród najszerszych warstw społeczeństwa dzięki swej prostocie i melodyjności. Guillevic jest żarliwym obrońcą i piewcą pokoju. Podajemy tutaj w wolnym przekładzie dwa fragmenty poematu.

Redakcja

Stefan ŻUROWSKI

Afrykański wulkan

Podstawą rozwoju Afryki jest rozwój kolorowych rzesz. Jest to niezmierzony proces dziejący się drugiej połowie XX-go wieku. Różne są etapy tej walki. Toczy się ona ze zmiennym szczęściem i z różnym nasileniem, ale i la longue wynik tej walki musi być ten sam. Prowadzić musi do zwycięstwa ciemnych nad ciemnymi. Bo taka jest sprawiedliwość dzieł.

Klasycznym przykładem takiego wulkanu jest Kenia. W różnych jego częściach coraz to nowe wstrząsy dają znać o niezadowoleniu jego uciskanych kolorowych mieszkańców. Wyszukiwanych w nielegalny sposób przez przybyszów z Europy. Najbardziej brutalna jest eksploatacja kolorowych w brytyjskim dominium Afryki Południowej. Od chwili objęcia rządu przez obecny gabinet Malana ucisk przybrał jeszcze na sile.

Rząd nacjonalistycznej partii potonków Buerów zaprzęgnął uległość obecną politykę przez wprowadzenie projektów ustaw o segregacji kolorowych od białych, o tzw. „Apartheidzie”. Szerogą ustaw odebrało kolorowym resztki praw, jakie gwarantowała im konstytucja południowo-afrykańska. Sąd Najwyższy uznał te ustawy za nieważne wobec sprzeczności z konstytucją. Malan w odpowiedzi na to, wniósł projekt ustawy o „Parlamentarnym Trybunale Konstytucyjnym” ustanawiający nową strukturę władzy. Władzę sądowniczą orzekającą w sprawach konstytucyjnych i odbierającą Sadowi Najwyższemu jego dotychczasowe uprawnienia w tej dziedzinie. Sąd Najwyższy na specjalnym posiedzeniu w jednoznacznie uznał postanowienie Parlamentarnej Trybunału Konstytucyjnego za akt sprzeczny z konstytucją i wobec tego nieważny. Zaciekle i szowinizm Malana wywołał sprzeciw nawet wśród części białych mieszkańców Południowej Afryki, rozumiejących, iż tego rodzaju polityka nieuchronnie prowadzi do buntu i krwawego buntu Murzynów i Hindusów przeciwko białym. Czynniki opór Murzynów przed ciwką ustawom segregacyjnym wzrasta z każdym dniem, krwawe rozruchy wybuchające coraz to częściej — tłumione są przy użyciu broni.

Wolność i siła już tysięcy. I chociaż sady południowo-afrykańskie coraz bardziej zaostrzają wyroki, ilość kolorowych demonstrantów bynajmniej nie maleje. Wzrost przeciwieństwa Południowa Afryka robi wrażenie kraju stojącego dosłownie na progu rewolucji na tle przesładowań rasowych.

Revolucja taka wybuchła już w innej południowej posiadłości brytyjskiej. Mamy na myśli bogatą kolonię we Wschodniej Afryce — Kenię. Ten wielki pałac afrykańskiego ludu, przewyższający obszar Francji, obdarzony nieprzebranymi bogactwami naturalnymi, o łagodnym klimacie i idealnych

wprost warunkach zdrowotnych, zagarnięty został przez Brytyjczyków w drugiej połowie XIX wieku. Stanowi on „oczko” w głowie planistów polityki imperialnej, którzy pragną uczynić z niego szóstą główną bazę i oparcie panowania angielskiego w Afryce. Skład ludności w Kenii w chwili obecnej — liczy się tak, iż na pięć i pół miliona Murzynów znajduje się tam 30 tys. kolonistów angielskich. Do tego dochodzi jeszcze 100 tys. Arabów i Hindusów to leżących przez angielskich władców. Natomiast podział ziemi wyjątkowo niesprawiedliwy. Biali koloniści dysponują 27 tys. km² najurodzajniejszych terenów rolniczych, podczas gdy na 5 i pół miliona Murzynów pozostawiono zaledwie 83.000 km² ubogich gruntów. Na terenach tych panuje zaledwie 1 km² ziemi uprawnej co w stosunkach afrykańskich jest cyfrą niezwykle wysoką. Brytyjska polityka opiera się od szeregu lat na prowadzeniu konsekwentnie do uznania Murzynów robotników w rolnych pracujących za głodowe wynagrodzenie na folwarkach białych kolonistów. Głód i bieda i widok bogactw się na ich oczach osadników brytyjskich doprowadził Murzynów do stworzenia tajnej organizacji „Mau-Mau”.

Okupanci brytyjscy odwołali się na bunt, ogłoszeniem stanu wyjątkowego oraz sprowadzeniem ze strefy Kanalu Sueskiego szereg jednostek wojskowych oraz okrętów Royal Navy, które zawinęły do portu w Mombasie. Ekspedycje karne złożone z wojska i policji dzień za dniem wyruszały na oblavy nubijskie, na wyspy i sła w górach Murzynów. Tysiące członków plemienia Kikuijów zostało aresztowanych. Wzrostła dobytek, stada bydła zapędzono do zagrod białych. Wszystko to dzieje się pod pokrywką „przywrócenia porządku”. Brytyjski minister kolonii Oliver Lyttelton po powrocie z Kenii do Londynu prze mawiał w Izbie Gmin z niezwykłą szczerością, uświadomił istotny program rządu brytyjskiego wobec tej posiadłości mówiąc: „Jesteśmy tam przede wszystkim po to, by pozostać na zawsze”.

Kenia nie jest bynajmniej zawiścią odobionym. W innej posiadłości brytyjskiej, w południowej Redezji, od szeregu tygodni trwa strajk kilkudziesięciu tysięcy murzyńskich robotników w kopalniach miedzi, należących do anglosaskich koncernów finansowych. Wypadkiem tym poświęcił ostatnio sporo miejsca paryski „Le Monde” omawiając je w obszernym artykule. Ten jego jest mocno melancholijny, wnoski nader pesymistyczne. „Le Monde” ujrzał nagle, iż wydarzenia te „ukazują cały problem afrykański w dramatycznym świetle”.

Nie dziwnego, że sytuację brytyjską najlepiej rozumieła właśnie

Francuzi, którzy sami nie mogą sobie dać rady w swoich posiadłościach północno-afrykańskich w Tunisie i Maroku. Polityka „silnej ręki” francuskich gubernatorów wojskowych doprowadziła do wnieścia tej sprawy w porządek dzienny tegorocznego Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych przez przedstawicieli bloku państw arabskich z Egiptem na czele. Nie wydadają się, by Francuzi dali się łatwo wykreślić ze szczególnej dyskusji nad tym, tak niechętnym dla niej, zagadnieniem. Podobnie w chwili obecnej „na cenzurowanym” znalazła się w ONZ cała rasistowska polityka rządu Malana w Południowej Afryce.

Omota światowa coraz bardziej i silniej potępiła wyzysk i przemoc jakie stosuje się do kolorowych mieszkańców całej Afryki. Chociaż poszczególne państwa europejskie posiadające kolonie w tej części świata robią wszystko by nie dopuścić do dyskusji w Organizacji Narodów Zjednoczonych sprawy kontroli nad dotychczasowym posiadłościami kolonialnymi w Afryce.

Na zakończenie naszego przeglądu sytuacji w poszczególnych częściach Czarnego Lądu zatrzymamy się na chwilę w Egipcie. Znajdując się obecnie — po zlikwidowaniu reżimu b. króla Faruka — pod rządami dyktatury wojskowej, sprawowanej w sposób niezwykle autokratyczny przez gen. Naguibę. Ten nowy „samodzierżca” episki został całkowicie oparty przez dyplomację angielską. Ambasadorzy Stanów Zjednoczonych i W. Brytanii są codziennymi gośćmi w siedzibie dyktatora episkiego. Nie bardzo wiadomo jak sytuacja rozwija się dalej. Obecnie jednak pewnym jest, iż cena, którą W. Brytania zapłaciła Naguibowi za zaniechanie akcji wyrzucania wojsk brytyjskich ze strefy Kanalu Sueskiego jest zgodą na przyłączenie Sudanu do Egiptu. Orzywiście od strony formalnej przysłonięto całą tę operację „listkiem florem” układowym zawartego — z inicjatywy brytyjskiej — pomiędzy rządem Egiptu a Sudanem. Sytuacja została na razie zakłajstrowana — na jak długo, przyszłość pokaże.

Z całego tego krótkiego przeglądu widzimy, iż sytuacja polityczna w poszczególnych częściach kontynentu afrykańskiego staje się coraz bardziej zapalna. Nastroje wywołane przez ludność i miejscowej rolni. Wrzenie i niepokój do białych najeźdźców wzrasta z dnia na dzień. Polityka terroru wojskowego i policyjnego utrzymuje jeszcze istniejący obecnie stan rzeczy. Wydaje się jednak więcej niż wątpliwe by mogła ona na dłużej onanować nastroje rewolucyjne nurtujące coraz silniej w murzyńskich masach. Jesteśmy świadkami ewakuacji kończenia się panowania białego imperializmu w Afryce.

Władysław TURSKI

Islam szuka swej drogi

JEST rzeczą dość powszechnie, znaną ze społeczeństwa arabskie Bliskiego Wschodu i Północnej Afryki, wyrosłe w klimacie religii Mahometa, po dziś dzień stanowią swoisty rezerwat ustroju feudalnego, do którego dopiero od lat niewielu poczęła się wdzierać nowoczesna cywilizacja. Silna fala wrzenia narodowo-wyzwoleńczego i rewolucyjno-społecznego, która podniosła się w tych krajach w wyniku drugiej wojny światowej i towarzyszącym jej przemianom ideowo-społecznym na całym świecie — zwróciła oczy wszystkich ludów ziemi na ten region, do niedawna — i słusznie — uznany za jeden z najbardziej zacofanych pod względem gospodarczym i społecznym.

Niezbyt skomplikowana, raczej nawet przeciwnie — jasna i przejrzysta rozgrzywka między W. Brytanią a Stanami Zjednoczonymi o wpływy polityczne i ekonomiczne w strefie Bliskiego Wschodu jest tylko jakimś zewnętrznym refleksem daleko bardziej istotnych przemian, dokonujących się w łonie społeczeństw arabskich. Ważna ludu arabskiego z rodzimymi feudalami i z obcym kapitałem kolonialnym — jest najistotniejszym elementem przemian w Islamie. Warto jednak zwrócić uwagę na jeszcze jeden ważki współczynnik tych przemian, współczynnik na ogół niedoceniany.

Na wstępie podkreśliłmy, wcale rzecz prosta nieprzypadkowo, fakt, iż społeczeństwa arabskie wyrosły w klimacie religii muzułmańskiej. Fakt ten posiada wręcz kolosalne znaczenie historyczno-społeczne, skoro Islam modelował kształt życia społecznego ludów Bliskiego Wschodu. Znanie jest wskazanie Mahometa o obowiązku śmiertelnej nienawiści „wiernych” w stosunku do wyznawców innych religii, szczególnie chrześcijaństwa.

W zgodzie z panującymi do niedawna jeszcze wyobrażeniami, jakoby pojęcia: chrześcijaństwo, świat chrześcijański i cywilizacja europejska były synonimami — wyznawcy Proroka uznawali wszystkie osiągnięcia i wynalazki nawet czysto techniczne powstałe w kręgu nowoczesnej cywilizacji europejskiej za dzieła „nieczystych rąk”, „niewiernych” i wręcz je bojkotowali. Było to zresztą także konsekwencją ich światopoglądu religijnego ale prowadziło często do wręcz absurdalnych sytuacji. Ów sztuczny mur psychiczny stworzony między wyznawcami Mahometa a chrześcijanami prowadził do takich nonsensów jak to, że do niedawna jeszcze prawowitny muzułmanin gotów był umrzeć raczej, niż skorzystać z pomocy chrześcijańskiego lekarza.

Absurdalność sytuacji dostrzeżono już zresztą dość wcześnie. Już w końcu ubiegłego wieku, na uniwersytecie Aligarh w Indiach wypracowuje się podstawy teore-

tyczne tezy, że Islam nie jest sprzeczny z nowoczesną cywilizacją techniczną. Blżej jeszcze naszych czasów, u progu bieżącego stulecia, działa w Egipcie szejk Mohammed Abdouh, profesor teologii na uniwersytecie El Azhar w Kairze. Zapoczątkowuje on wielkie dzieło krytycznej selekcji treści doktryny Islamu.

Szejk Mohammed Abdouh — jako pierwszy wśród biegłych w Koranie usiłuje wykazać, że w świetle autentycznej doktryny Islamu nie może być sprzeczności między prawdą religijną a prawdą naukową. Dylemat bowiem: wierność religii i jej tradycjom czy przyjęcie nowoczesnej cywilizacji był wielkim i bolesnym dramatem Islamu i jego szczyrnych i przekonanych wyznawców. Kemal Pasza Attaturk nie chciał uwolnić — oczywiście w sensie cywilizacji kapitalistycznej — swój kraj, kosztem wyrzeczenia się tradycji religijnej wieków poprzednich. Na takie rozwiązanie stawiała też cała młoda inteligencja muzułmańska przywożąc razem z wykształceniem z uniwersytetów europejskich laicki, areligijny pogląd na świat.

W tym świetle dzieło szelka Mohammeda Abdouha i jego uczniów stanowił zapowiedź kapitalnego przewrotu w zakresie pojmowania wzajemnych stosunków między religią a życiem społecznym, w doktrynie Islamu.

Nacisk, jaki położyliśmy na ten specyficznie religijny aspekt przemian w Islamie nie wydaje się przesadny, skoro przypomniemy sobie, jak niesłychanie głęboko religijne są ludy muzułmańskie. Zapewne, w tej ortodoksyjnej ludu jest znacznie więcej nieświadomości niż w mechanizmie mechanicznego trzymania się wiary i obyczajów przodków, niż rzeczywiste trzeźwe refleksji, niemniej obrządku religijnego i ściśle im podporządkowany pewien określony typ obyczajowości muzułmańskiej stanowią integralną część składową życia krajów Bliskiego Wschodu i Północnej Afryki.

Ze ten tradycyny styl życia, zamknięty w ramy ustroju więcej niż na wpół feudalnego, rozszalały od wewnątrz już od paru dziesiątek lat wdzierające się doń elementy nowoczesności — o tym wspomnieliśmy już na wstępie.

Islam szuka swej drogi, szuka jej na wszystkich płaszczyznach życia społecznego, nie należy żadnej z nich pomijać i przemilczać. Zastrzec się trzeba przed jednym, przed tym mianowicie posadzeniem, jakobyśmy nie dostrzegali, że masy ludowe krajów Islamu dokonują już zasadniczego wyboru w zakresie spraw doczesnych — przeciw rodzinnemu feudalizmowi i zagranicznemu kapitalizmowi. Ale uwagi niniejsze ten fakt jedynie oświetlają i jeszcze jednej strony, nie przecząc mu bynajmniej.

Władysław Turski

W DNIU 2 grudnia odbyły się w Warszawie uroczystości jubileuszowe związane z 40-leciem kapłaństwa i 30-leciem pracy naukowej ks. prof. dr Jana Czuję, dziekana Wydziału Teologii Katolickiej Uniwersytetu Warszawskiego, przewodniczącego Komisji Głównej Intelktualistów i Działaczy Katolickich przy PKOP.

W uczeniu zasług najwybitniejszego polskiego patrysty i niestrudzonego katolickiego działacza społecznego wzięło udział ok. 80 księży i wielu świeckich działaczy reprezentujących szeroki wachlarz polskiej opinii katolickiej.

Po Mszy św. odprawionej w intencji Jubilata w kaplicy przy ul. Wilezkiej przez ks. prof. Stanisława Hueta i po okolicznościowym przemówieniu wygłoszonym przez ks. dr Antoniego Kwiecińskiego zebrani udali się do gmachu szkoły św. Augustyna kierowanej przez „Pax” na akademii jubileuszową.

W prezydium akademii zasiadli: Jan Doornaczynski, ks. dr Józef Iwanicki — rektor KUL, ks. prałat Jan Podbielski — przewodniczący Warszawskiej Komisji Intelktualistów i Działaczy Katolickich oraz Bolesław Piasecki.

Po przywitaniu gości, wśród których znajdował się również z ca Dyrektora Urzędu do Spraw Wyznań — Józef Siemek oraz rektor Uni-

Jubileusz ks. dziekana Jana Czuję

wersytetu Warszawskiego prof. Stanisław Turski — przewodniczący akademii odczytał szereg depech i listów z życzeniami dla Jubilata. M. inn. nadesłał życzenia: Min. Szkół Wyższych i Nauki — Adam Rapacki, przewodniczący prezydium PKOP Jarosław Iwaszkiewicz, ks. biskup Ignacy Świrski, ks. biskup Marian Jankowski, ks. ks. wikariusze kapitułny Kazimierz Lagosz i Emil Kobierzycki oraz wielu, wielu innych kapłanów, naukowców i działaczy.

Referat o dorobku naukowym Jubilata wygłosił znakomity znawca patrystyki rektor Jan Sajdak. Mówca stwierdził m. inn., że ks. prof. Czuję przetłumaczył sam jeden na język polski więcej pism Ojców Kościoła niż wszyscy polscy tłumacze łącznie na przestrzeni od XVI do XIX w.

W dalszym ciągu akademii przemawiali ks. dr Hilary Jastak, rektor KUL, ks. prof. Iwanicki, ks. kan. Kazimierz Kotula, sekretarz generalny Komisji Intelktualistów i Działaczy Katolickich — Andrzej Micewski, ks. prob. Lech Ziemiński, ks. prob. Tadeusz Romaniuk, ks. Michał Banach i Bolesław Piasecki.

W związku ze zbliżającym się jubileuszem ks. Czuję w charakterze delegata Polski na Kongres Narodów w Wiedniu, w związku z doniosłą rolą jaką Jubilat odgrywa w aktywizacji społeczności katolickiej dla służby celom Frontu Narodowego wydał się słusznym podkreślić to ideologiczne i społeczne jubileuszowe uroczystości. Temu właśnie tematowi poświęcił swą wypowiedź Bolesław Piasecki.

Powiedział on m. inn.

Zarysowuje się taki centralny problem: 1. Rząd Polski Ludowej, realizując swoją historyczną odpowiedzialność, domaga się słusznie pełnej realizacji przez wszystkich obywateli celów Frontu Narodowego. 2. Episkopat zaś, realizując swe posłannictwo hierarchiczne, chce uznanie autonomii organizacyjnej Kościoła i możliwości realizacji swej misji apostolskiej. Uzgodnienie tych dwóch celów nazywamy linią Porozumienia, brak uzgodnienia jest szkodą dla podstawowych interesów narodu i Kościoła. Sytuacja nie jest prosta, bo to uzgodnienie wymaga także ze strony całego Kościoła w Polsce, ze strony całego Kościoła w Polsce, ze strony Hierarchii, ze strony duchowieństwa, ze strony świec-

kich, zerwania z jakimkolwiek popieraniem, z jakimkolwiek nawet jeszcze nieświadomym związkiem z polityką obozu imperialistycznego, kapitalistycznego, wojennego, wymaga odwagi narazenia się ośrodkom politycznym przeciwnym postępowi w kraju i za granicą, wymaga wręcz widzenia perspektywy dla wiecznej misji Kościoła w nowej epoce. To uzgodnienie wymaga także zrozumienia transcendentnej historycznej misji Kościoła, który według katolików jest dla wszystkich czasów i dla wszystkich ustrojów i który musi obać o zrozumienie dla pełnienia Jego Boskiego posłannictwa.

Komisja Intelktualistów i Działaczy Katolickich przy PKOP jest narzędziem uzgadniania tych celów, realizatorką interesów Frontu Narodowego i interesów katolickich. Komisja Intelktualistów zał muje zdecydowaną postawę optymistyczną, głosząc że cele te uzgodnić się dać. Optymizm ten jest uzasadniony nie tylko perspektywą, ale i faktami, jest podbudowany osiągnięciami.

Sekretarz Komisji powiedział tu też, że postać Ks. Dziekana Czuję jest symbolem tej linii. Dlaczego jest tym symbolem? Bo Ks. Dziekan jest postacią kościelną i postacią Frontu Narodowego. Trzeba słyszeć oklaski na zebraniach politycznych i widzieć objawy uznania i szacunku, jakimi jest on otaczany w

wewnętrznym życiu katolickim. Księdzu Dziekanowi towarzyszą nasze uczucia podziwu i wdzięczności. Wdzięczności, że jest pionierem, że bierze odpowiedzialność za tę trudną drogę. Chcę tu podkreślić z punktu widzenia katolików świeckich, że Ks. Dziekan ma specjalne zdolności wytwarzania właściwej atmosfery dla współpracy kapłanów i świeckich.

Osiągnięcia jego wynikają z przewyższenia trudności. Atmosfera jubileuszu może jeszcze nabierać serdeczniejszego, pełniejszego wyrazu, gdy sobie wszyscy zdamy sprawę, że ta wielka sprawa, która jest tem działalnością Ks. Dziekana, polega na tym, aby w interesie narodu spotkanie rewolucji społecznej, tworzącej lepsze jutro dla każdego człowieka na ziemi, aby to spotkanie wszechogarniającej i zmieniającej oblicze świata Rewolucji z pracującym dla pozarządowego, transcendentnego w stosunku do historii celu człowieka Powszechnym Kościołem Katolickim, aby to spotkanie odbywało się w atmosferze woli uzgodnienia warunków współistnienia. Po widziałem to, aby podkreślić, że wszystko, co się u nas dzieje, niezależnie od osiągnięć osobistych, ma swoje znaczenie społeczne. Jest wyrazem uznania, wyrazem optymizmu dla słusznej i wielkiej sprawy.

Jako ostatni zabrał głos sam Jubilat, dziękując we wstępujących słowach zebrany i stwierdzając, że nie ustanie w pracy, której się podjął póki Mu tylko sił wystarczy.

Izabella KOPEĆ

NEWMAN W NOWYM ŚWIETLE

W bieżącym roku mijają dwie setne rocznice związane z imieniem kardynała Newmana. Stulecie jego dublińskiej pracy „Discourses on the Idea of a University“ (Rozważania o idei uniwersytetu), oraz jego „Sermon on the Second Spring“ (Kazanie o drugiej wiosnie). Nie potrzeba jednak uciekać się do pretekstu stulecia, aby mówić o Newmanie.

John Henry Newman już za życia cieszył się niezwykłym uznaniem. Oto jak pisał o nim współczesny mu Shairpę w dziele „Studies on poetry

watnemu dziennikarowi Newmana ma istotne znaczenie dla poznania tej wybitnej indywidualności. Newman bowiem był jednym z tych rzadkich pisarzy, którzy jakby umyślnie wyprowadzają nas na światło nie zacierając żadnego szczegółu ani w rysunku ani w kolorze. Ten człowiek niczego nie chciał ukryć przed sobą, myślał i pisał w nieustannej i żywej obecności mocy, których nie można uwieść, przekonać argumentami, rozrzewnić. Newman żył w tym bezwzględny,

wielkość jego jest nierozdzielnie związana z Kościołem. Poza Kościołem byłby on może wybitnym człowiekiem i umysłem, ale kim właściwie?

Newman w Kościele widział dzieło nadprzyrodzone zapoczątkowane przez samego Boga i nie pojmował jak można żyć poza Kościołem. Uważał za grzech ściągnięcie potępienie oddzielenie się od tego organizmu prawdy Bożej, szukał namiętnie i wytrwale tego Kościoła, usiłował stworzyć go lub wskrzesić w kościele anglikańskim, zwątpił o nim i odnalazł go wreszcie w Kościele katolickim.

Newman nigdy nie tracił zaufania pokładanego w boskim przewodnictwie Kościoła. W chwilach trudności i niepowodzeń życiowych jego wiara w Kościół była bardziej niezachwiana niż kiedykolwiek. Pisał wówczas: „Obym nigdy na moment nie zapomniał, że Ty stworzyłeś na ziemi Twoje własne Królestwo, że Kościół jest Twoją pracą, Twym dziełem, Twym instrumentem, że my jesteśmy pod Twoją władzą, Twymi prawami i Twoim okiem; że kiedy Kościół, mówi — Ty mówisz. Nie daj, by świadomość tej cudownej prawdy doprowadziła mnie do jej spowszednienia. Nie daj, by słabość Twoich ludzkich przedstawicieli doprowadziła mnie do zapomnienia, że Ty mówisz i działasz za ich pośrednictwem“. Lub też odkrywając nam swą niezachwianą miłość do Prawdy, która przychodzi do nas za pośrednictwem Kościoła Newman pisał: „Potrzeba mi światłości Ducha, który jest światłością świętych Ojców Kościoła, dzięki której mogę nie tylko mówić na dane tematy, lecz myśleć co oni myślą. Jest mi zawsze potrzebny ratunek przed oryginalnością myśli, która jest błędna, jeśli odwodzi mnie od Ciebie“.

JEST wielką zasługą O. Bouyer, że udostępnił (z pełnym zrozumieniem komentarzem) akt, który można traktować jako najbardziej wzruszający testament duchowego życia Newmana. Jest to mianowicie przeznaczony do własnego użytku dokument, w którym w przeddzień wyświęcenia spisał on po łacinie nasuwające mu się wątpliwości co do swych wartości jako kapłana i swego przygotowania do życia kaznodziei. Jest to pełen pokory i najgłębszej szczerości sąd o sobie samym; wyznanie przepojone prawdą i uczciwością. Ojciec Bouyer jest zdania, że nikt nie byłby w stanie wysunąć więcej poważnych zarzutów, niż skierowane w głąb własnej duszy bezlitosne spojrzenie Newmana. Newman obawia się, że to co wydaje się w nim dobre, jest powierzchowne, lub po prostu wypływa z jego natury. Boleje nad tym, że wszystko w życiu udaje mu się osiągnąć bez specjalnego wysiłku, że cierpienia i choroby są mu oszczędzone. Wierzy jednak, że potrafiłby poddać się woli Bożej, jeśli zamiast spokoju i dostatku Bóg przeznaczyłby mu ubóstwo i życie pełne zmagania. Choć świadom mocnego postanowienia spełnienia woli Bożej Newman wyznaje, że w niektórych mniej ważnych przypadkach nie staje na wysokości zadania. Martwi się on szczególnie swym niedostatecznym rozumieniem dla pewnych katolickich obrządków religijnych i modlitw jak nowenny, modlitwy dla otrzymania rozgrzeszenia i inne. Przyznaje jednak, że czuje uwielbienie dla Mszy Świętej, przyjmowania Sakramentów Świętych, dla różańca,

ca, litanii i brewiarza. Troska się, że nie służy już Bogu z taką radością i oddaniem, jakie cechowały go za czasów młodości. Ta pełna uczciwości niezdolność dopatrzeć się dobra w sobie samym i ta żywa świadomość słabości przepojone są duchem pokory. Newman ani na chwilę nie traci jednak przekonania, że Bóg jest z nim i mimo jego niedoskonałości udzieli mu swej pomocy.

JESLI chodzi o życie duchowe Newmana książkę Ojca Bouyer trzeba traktować jak najpoważniejszą spośród dotychczas wydanych. Autor ukazuje nam mądrość i miłosierdzie apologetycznej metody, której Newman hołdował przez całe życie; metody polegającej na uznaniu wartości duchowych niekatolika i

pełnym poszanowaniu cudzych poglądów. Był przeciwnikiem stosowania jakiegokolwiek przymusu z chęcią nawracania. Pisał: „W dziedzinie rozstrząsań religijnych każdy z nas może mówić tylko za siebie. Własne nasze doświadczenia wystarczają dla nas samych; ale nikt z nas nie może rozstrzygać za innych, stanowić dla nich prawa... Każdy z nas wie co go zadowoliło i zadawała: jeżeli tak dzieje się z nim nie jest nieprawdopodobne, że zadowoli to i innych; jeżeli coś jest jak wierzymy, prawdą, jest słuszną rzeczą spodziewać się, że ta nasza wiara znajdzie drogę i do przeświadczenia innych: ponieważ jedną jest prawda“.

Izabella Kopeć



Kardynał J. H. Newman

and philosophy“: „Wpływ jaki posiadał nie ubiegając się o to bynajmniej, jest w naszych czasach czymś jedynym w swoim rodzaju. Pewien niezwykły dzisiaj odcień szacunku skupił się na jego osobie: jakgdyby jakiś Augustyn lub Ambroży dawnych czasów odżył na nowo pośród nas“.

Jakkolwiek Newman już na początku XX wieku był uważany za najgenialniejszego myśliciela religijnego od czasu Reformacji, był on jednak często atakowany i wciąż jeszcze bywa fałszywie pojmowany. Nie bez wpływu zapewne pozostaje tutaj myślenie na interpretację życia i działalności kardynała dokonana przez człowieka tak błyskotliwego i napozór autorytatywnego jakim był jeden z najbardziej znanych biografów Newmana, Henry Bermond.

Ostatnio w Paryżu ukazała się nowa monografia o kardynale Newmianie. Autorem jej jest Ojciec Ludwik Bouyer, który sam jest konwertytą, był więc niejako przeznaczony do zajęcia się historią życia tej niezwyklej postaci. Nie wydaje się, aby jakkolwiek z dotychczas napisanych książek dawała równie wierny obraz życia Newmana. Autor sięgnął do nowych, niepublikowanych źródeł, które udało mu się odkryć w Oratorium w Eghaston pod Birminghamem, gdzie Newman spędził kilka lat życia przygotowując się do przejścia na katolicyzm. Są to listy, dzienniczek kardynała, oraz pisane przez niego komentarze i rozmyślenia.

OJCIEC Bouyer wyraźnie podkreśla w swojej książce, że Newman w pełni zasługuje na to aby być kanonizowanym; podporządkowuje jednak swoją opinię przyszłemu osądowi Kościoła.

To, że O. Bouyer pisząc monografię wiele uwagi poświęca pry-

*) „Newman, sa vie, sa spiritualite“. Par Louis Bouyer. Edition du Cerf.

niedozwalającym kłamać światło i do końca życia wierzył w to, co wypowiedział nieprzytomny w gorączce na Sycylii: „Nie mogę umrzeć, bo nie zgrzeszyłem przeciwko światłu“.

Ojciec Bouyer zgadza się całkowicie z własną oceną Newmana dotyczącą doniosłego znaczenia, jakie dla jego przyszłości miała przemiana, która dokonała się w jego duszy w szesnastym roku życia. Ojciec Bouyer słusznie twierdzi, że był to nawrót do wewnętrznego poczucia obecności Boga i do bezgranicznego zaufania w Opatrzność Bożą, które, jak sam Newman wspomina, żywił od najwcześniejszego dzieciństwa, a które na pewien, krótki zresztą, okres czasu utracił. To przeobrażenie duchowe zachowało swą moc w ciągu reszty jego dni i odtąd istniejące w życiu Newmana pierwiastek stały i niezmienny, w tajemniczy sposób wzniesiony w jego duszy: niezachwiana wiara w Boga. Był prawd religijnych „bardziej pewny niż tego, że ma ręce i nogi“. Absolutnie nie był dla niego abstrakcją, lecz nieustanną codzienną rzeczywistością. „Gdy patrzył w świat i nie odnajdywał w nim Boga, było to dla mnie jakgdyby nie znalazł nagle własnego obrazu w lustrze“ pisze w jednym ze swych dzieł.

TO WŁAŚNIE przeświadczenie o obecności i roztaczanej nad nim bezpośredniej opiece Bożej nadaje specjalną wymowę różnym wynurzeniom Newmana mówiącym o samotności duszy wobec jej Stwórcy i o jego żywej świadomości jedynie dwóch istot — siebie i Stwórcy. Niemniej jednak nie pozostawało to w jakiegokolwiek sprzeczności z jego równie żywą świadomością istnienia Kościoła i ważności jego misji. Skrajny indywidualista jakim był Newman czuł wielką potrzebę autorytetu, potrzeba ta skierowała go do Kościoła katolickiego. Rozważając życie Newmana trzeba pamiętać, że

KAZIMIERZ PIEKUT

GDY KAPŁAN MODLI SIĘ DO CZŁOWIEKA

ks. Stefanowi Nycowi

Nigdy mi nie przyniosłeś, o człowieku dobry, listka swojej radości, którą zakwitasz niby gałąź wiśniowa w zachwaszczonym sadzie — gdy masz do darowania pełne naręcza zmartwień i trosk dnia powszedniego. Prowokując wołaniem: ratuj i pociesz wszak dał ci moc, Który ślepcowi darował oczy jasne zdrowe, stokrotnie wynagrodził krzywdę Magdaleny a lotra wziął ze sobą do nieba — trudniejszy jesteś niż Summa theologia, ogromna mądrość Tomasza i doskonałość w ubóstwie Franciszka. Wciążasz mnie w gąszcz swego życia jak podróżnika puszcza głęboka znana zaledwie po brzegu. Zasluchany w Twoje wołanie nie spostrzegam, że dni moje umykają jakby trzaskał z bicza — gdy wciąż zaledwie sylabizuję Ciebie jak niezdolne dziecko trudny druk w nowym elementarzu. Otwórz się, otwórz — niech zacznę Cię czytać...

SAMOLOT NAD ŁĄKA

Nie zakląć w perły, w szkło nie zarzec ros, co na wążach traw zawisły. Chwałę szczerzyliście w trudzie twarzę i krzyk chłopaków znad pastwiska.

I śpiewam odpoczynku porę gdy sianożęcy w chłodzie olszyn śmiejąc się, jedzą podwieczorek. Kiedy samolot w górze krąży,

benzyną pachnie zamiast sianem — radości nie powstrzymasz uczuć: kosiarze, klaszcząc w dłonie twarde, wołają: POKÓJ wszystkim ludziom...

POKÓJ rozgradza horyzonty — nikt nie zabroni ludziom śmiać się, nikt nie zabroni ziemi rodzić, nikt nie zabroni trawom pachnieć.

TRAKTORZYSTA

Któryś lipową sochą ręką Izydora prowadził bez przygody po skalistym szlaku, daj wycucie mym dłoniom. Błogosław motorom, oliwie i benzynie chlupoczącej w baku.

Po wołach czas już koniom. Toż to anachronizm — obrazek: przy orce koń w pługu jednoskibowym. Kiedy dbasz o człowieka uzał się i koni, które zrywają ścięgna w pracy ponad siły

Odmierzaj równo skiby — jak chleba gleń — duże; lemiesz, kiedy się potknie, uchron od wypadku; upomnij wiatr, by w oczy nie parskał mi kunzem i niech się raźniej krząta po polu mój traktor.

Ignacy RUTKIEWICZ

Przeciw pewnej mentalności

TEN świat, w którym ujrzelśmy światło dzienne, był światem nie zaprzeczalnie pięknym i powabnym. Tak przynajmniej nam się wówczas wydawało. Urok tego świata i jego piękno polegały jednak, jak się miało niebawem okazać na naszej niewiedzy. Niewiedza bowiem niezawiesz jest źródłem rozterki, przeciwnie, bardzo często daje błogie poczucie spokoju, ustalonego raz na zawsze porządku, bezwzględnie bezpieczeństwa. Nasza niewiedza nie była bynajmniej absolutna: o świecie i życiu wiedzieliśmy przecież wiele, bez zająknięcia potrafiliśmy wyliczyć posiadłości francuskie w Afryce, w razić podziw dla sukcesów armii japońskiej w Chinach i entuzjastycznie się rozpędzaniem „bolszewickich” manifestacji pierwszomajowych przez policję. Naszą wiedzę o świecie porządkowaliśmy według podanego nam przez starszych klucza. Szufładki, do których wkładaliśmy poszczególne pojęcia, sprawy i rzeczy były — nieprzypadkowo ma się rozumieć — troskliwie izolowane między sobą. Świat był zbudowany i urządzony mocno, solidnie, pewnie.

Ogromny szok, jakim dla nas, katolików, inteligentnych synków, stała się rewolucja zburzyła w naszych umysłach uroczą wizję owego świata złudzeń, o którym sądził się w naiwności ducha, iż był jedynym, rzeczywistym światem. Poczuliśmy się osamotnieni, słabi i bezradni. I jeżeli wielu z nas inteligentnego pokolenia katolików lat 30-tych, wybrało katolicyzm, to dlatego przede wszystkim, żeśmy widzieli w nim coś na kształt klapy bezpieczeństwa przed tą niezrozumiałą i niechętną nam rzeczywistością roku 1941 i lat następnych. Szukaliśmy w Kościele ucieczki przed światem, nie rozumiejąc, iż Kościół jest czymś zgoła innym, niż przytułkiem dla rozbitków socjalnych i ideowych.

A wśmy przecież byli takimi właśnie rozbitkami. Nasz dawny, dobry i piękny świat runął w gruzach w naszych oczach. Wobec spraw nowego, rodzącego się dopiero świata czuliśmy się jak ludzie, którym zabrano ich dom i przemiełowano go na nowo. Co więcej, zgubiliśmy klucze do tego domu, który w gwałtownym tempie zmieniał i fasadę, i wnętrze.

Nowy powstający świat niewiele sobie robił z naszego przed nim lęku. Szedł po prostu swoją drogą. Wśród nas — rozbitków z tamtego świata złudzeń i fikcji — wyodrębnił się ci, co wybrali świat nowy. Oni wszakże porzucili katolicyzm, pozostając zresztą w zgodzie z panującą wtedy wśród nas przekonaniem, że nowy świat i Kościół to — incompatybilia. Uważaliśmy, że wierność Kościołowi oznacza nakaz stanowczej negacji nowego porządku rzeczy, potwierdzając tym bezwiednie opinię jednego z piarzystów grupy „Jeunesse de l'Eglise”, który wyraził się parę lat temu: chrześcijaństwo z reguły w nowych

wartościach, przynoszonych przez prąd historii dostrzegają przede wszystkim to, co w nich różni się z ich (tj. chrześcijan — przyp. I. R.) tradycją, a nie to, co jest wspólne i może być przyjęte.

Niewiedza na pewnym stopniu rozwoju umysłowego jest usprawiedliwiona, nieco później jest dowodem lenistwa, w końcu staje się przejawem beżmyślności, albo raczej egoistycznego wygodnictwa intelektualnego. To, co określam mianem niewiedzy, to niedostrzeganie integralnego związku, łączącego ze sobą wszystkie dziedziny życia, to niedostrzeganie faktu, iż istotną zasadą organizującą świat współczesny, staje się w coraz to większym stopniu zasada naczyń połączonych. Wypowiedziane przed chwilą słowa o „naczyńiach połączonych” i „integralnym związku” znaczą to właśnie, że w dzisiejszym świecie — czy to się komuś po doba, czy nie — nie ma zamkniętych hermetycznie pokoi, w których poszczególne indywidualia ludzkie mogą pędzić własny, niezależny żywot. W dzisiejszym świecie — w stopniu daleko silniejszym, niż to kiedykolwiek dotąd miało miejsce — każdy nieledwie nasz czyn, każda nawet na szatach decyzja pozornie czysto intelektualna, znajduje swój rezonans w toczącej się fali wydarzeń. Dlatego to odpowiedzialność, obciążająca wybrany przez nas sposób postępowania wobec innych ludzi i wobec dziejących się w świecie wypadków, nabiera coraz to częściej charakteru niemal zupełnie bezpośrednio osobistej odpowiedzialności. I dlatego też dążenie do zamknięcia poszczególnych spraw tego świata do osobnych, poprzedzających starannie między sobą szufładek jest błędem nie tylko z punktu widzenia poznawczego, ale jest także w wielkim stopniu zagadnieniem etycznym.

OBAWA PRZED „POLITYKĄ”

JESLI spostrzegamy wśród pewnej liczby młodych katolików polskich zjawisko namiętnego odżegnywania się od „polityki” i równie namiętną chęć zamknięcia się w ciasnym światku jak najbardziej indywidualnie pojętych starań i zabiegów o zdobycie sobie zawodu życiowego, to postawa taka jest uwarunkowana właśnie brakiem rzetelnej wiedzy o świecie współczesnym. Ze tej naprawdę rzetelnej wiedzy o rzeczywistości społecznej i gospodarczej dzisiejszego świata nie dała naszym pokoleniu przedwojenna szkoła i tradycyjne wychowanie, to jest rzeczą równie oczywistą, jak i to, że dlatego tym więcej powinniśmy dbać o nabycie jej własnym świadomym wysiłkiem. Inaczej brak tej wiedzy przestanie być czymś, za co nie ponosi się odpowiedzialności.

Wydaje mi się, że genetyz tego odżegnywania się od „polityki” należy szukać w kilku zasadniczo niewiele różniących się między sobą stanowiskach ideologicznych. Jednym z

nich jest stanowisko tzw. czystościowości moralnego, które określa za chowanie tzw. czystych rąk jako autonomiczny cel życiowy, podczas gdy działanie polityczne jest tylko środkiem do celu, jakim w zakresie dążeń doczesnych jest praca dla społeczeństwa. Zwolennicy „czystościowości” stanowiska uznają rycałtowo „politykę” za sprawę bardzo brudną i zasadniczo nieetyczną. Inną postawę w tych kwestiach cechuje „mitologizowanie” sfery zagadnień politycznych. Jest to dość typowe stanowisko naiwne, drobno mieszczańskie: dla niego polityka to jakaś czarna magia, której w ogóle i chyba też nigdy nie da się przeniknąć i zrozumieć, to gra wtajemniczonych.

Te stanowiska to przejaw jednego i tego samego zjawiska swoistej mentalności, mentalności „emigranta we własnym kraju”, jak to nie pamiętam już kto określił przed kilku laty. A stąd już krok tylko do czynnej negacji współczesnej rzeczywistości polskiej.

Ta swoista mentalność cechująca pewną liczbę młodych katolików polskich, przejawia się generalnie w powiedzeniu: siedźmy cicho, uczmy się czy pracujmy, ale nie mieszajmy się do „polityki”, a sprawy ogólne jakoś się same ułożą. Czyli innymi słowy: niech się inni za nas trudzą i brudzą (bo „polityka” to rzecz ponoć zasadniczo brudna), a my potem przyjdziemy do gotowego. W tym rozumowaniu stawia się niejako obliwie znak równania między „my” a Kościół, jak gdyby owo „my” nie oznaczało tylko pewnego określonego fragmentu społeczności katolickiej. Warto też przypomnieć, że społeczność katolicka to także niezupełnie to samo co Kościół.

WOBEC WIELKICH PRZEMIAN SPOŁECZNYCH

RZECZYWISTOŚCIĄ najbardziej realną świata współczesnego są dokonujące się aktualnie w skali nie małego całego globu ziemskiego zasadnicze przeobrażenia społeczne. Niezależnie od tego, co kto o tym sądzi, rewolucja społeczna jest faktem, którego nie da się — nawet przy najszczerzejszych chęciach — negować. Rewolucja, o której mowa, nie jest jakąś abstrakcją, jest koniecznością historyczną. Na obecnym etapie swego rozwoju, cywilizacja nasza domaga się ujęcia w nowe formy organizacyjne, którymi będą niezawodnie — dzisiaj niestety — do przewidzenia — formy społeczności socjalistycznej. Ustrój kapitalistyczny nie potrafił rozwiązać nurtujących go sprzeczności wewnętrznych: bezrobocia zdołał przeciwstawić jedynie sztuczną

konjunkturę wysiłgu zbrojeń, wolno ściowym ruchom ludów kolorowych — wojskowe korpusy ekspedycyjne, kryzysowi klasycznych form republiki parlamentarnej — faszyzację wszy stkich dziedzin życia publicznego. Technika ustrojowa kapitalizmu nie zdołała praktycznego egzaminu życia: błyskotliwe kariery jednostek nie zdołały przesłonić klęsk daleko liczniejszych milionów innych jednostek, pokonanych w nieledwie zwierzającej walce o byt.

Pytanie, co wobec tego mają czynić młodzi katolicy, którzy nie chcą się postawić poza nawiasem historii, a zarazem uznają prawdę o transcendentnej misji Kościoła Chrystusowego — nurtowało wielu z nas należącego do inteligentnego pokolenia lat 30-tych, bardzo głęboko. Dynamizm obozu rewolucji kazał nam doszukiwać się w jego działalności czegoś znacznie więcej, niż tylko bu rzenia naszych dawnych wyobrażeń o świecie i panującym porządku społecznym. Wielkim odkryciem stała się dla nas prawda, że obóz rewolucji to nie tyle burzenie zastanego porządku rzeczy — jak nas o tym przekonywali ludzie zadowoleni we „wczoraj”, — ale to przede wszystkim namiętna pasja i konsekwentna wola zbudowania świata nowego. To dążenie do stworzenia nowego świata — z dnia na dzień coraz lepiej zdawaliśmy sobie z tego sprawę — nie jest przy tym oparte na mechanicznej transpozycji w sferę polityki takich czy innych klerykowskich systematów intelektualnych, ale jest zrodzone z praktyki życia społeczne go. Dziejąca się wokół nas rzeczywistość historyczna przekonywała nas, iż społeczno-gospodarczy ustrój socjalistyczny, to nie realizowanie apriorycznie wykonanych konstrukcji teoretycznych, zrodzonych z ducha filozofii materialistycznej, lecz, że jest to przede wszystkim obiektywna tendencja społeczna, określona konkretnie sprawnymi procesami rozwoju społeczeństw.

Mwle, iż jest rzeczą zbytnią podkreślanie, że dla ludzi tej formacji społecznej co katolicka młodzież inteligentna — ideologicznie związana z mieszczańskim poimowaniem katolicyzmu — dla tych ludzi akceptacja społeczno-gospodarczych form socjalistycznych nie jest wyborem, którego dokonać było najłatwiej. Ludzie ci mieli bodaj jak najlepsze dane subiektywne po temu, aby oddzielić się od dziejących się przemian społecznych. Ale byłaby to tylko postawa irracjonalna, schlebająca być może najbardziej zeszaryłym wewnętrznym impetom i subiektywnie przeżywanym tęsknotom wielu z nas, ale w skali całego społeczeństwa stanowiłaby przejaw niewybaczalnej ślepoty.

DROGA EWOLUCJI

ROZUMOWALIŚMY mniej więcej ten sposób. Elementarne poczucie więzi społecznej i współodpowiedzialności za losy społeczeństwa, w którym żyć nam przypadło, poczucie zrodzone zarówno ze zrozumienia społecznego charakteru nauki Chrystusa, jak i z osobistych obserwacji historycznych — uniemożliwia zasadniczo postać, jakoby nasz był indywidualny był zawieszony w ja kiejś pozostawionej, pozahistorycznej próżni. Każdy z nas jest nie tylko bytem indywidualnym, ale jest także częścią składową społeczeństwa. Konsekwentnie: namiętna apologia autonomizowania jednostkowo pojętych zabiegów o zdobycie sobie zawodu życiowego jest nie do przyjęcia dla tego, kto za swe życiowe hasło nie uznaje mniej lub więcej uświadomionego egoizmu. Uczyć się pilnie, zdobywać wiedzę zawodową, teoretyczną i praktyczną — ale po co? Mówi się o etycznym obowiązku rzetelnego podejścia do studiów czy pracy zawodowej — ale po co, dla kogo, w imię abstrakcyjnego imperatywu moralnego, czy jak? Jeśli się przyjmie, że można żyć nie interesując się „polityką” czyli po prostu realną rzeczywistością społeczno-polityczną współczesnego świata — to zacytowany nakaz moralny będzie tylko przejawem swoistej odmiany egoizmu. Tak, egoizmu, bo polityka — tym razem już bez cudzysłowu — jest funkcją społeczną, jest działaniem organizującym formę współżycia społecznego zbiorowości ludzkiej: wyłączyć się z tego współżycia — to znaczy stworzyć sztuczny mur między swoją indywidualną egzystencją, a losami całego społeczeństwa. A nie może być rzeczą obojętną dla katolika, czy daną ustrój społeczny stawa lepsze czy gorsze warunki dla rozwoju osobowości ludzkiej.

Tak brzmi w swej krystalicznej postaci wynik naszych kilkuletnich obserwacji życia powojennego kraju. Trudno tutaj wytyczyć szczegółowo te drogi, którymi każdy z nas do tych pozycji ideowych dotarł. Odległość między nimi a naszymi przedwojennymi wyobrażeniami o świecie świadczy, że czas nie był użyty na obserwacje marginalne z zatrąceniem zasadniczych linii kierunkowych fali wydarzeń. Takich jak ja przedstawiciel inteligentnego pokolenia lat 30-tych, którzy nie rezygnując ze swych zobowiązań światopoglądowych wobec katolicyzmu oraz czynnej przynależności do Kościoła, postanowili złączyć swe losy z losami rewolucji socjalistycznej, którzy chcieli być zarówno w Kościele jak i w Historii — było wielu. Ale to nie był zbiorowy wybór stanowiska politycznego, ściślej: ideowo-politycznego przez jakąś zorganizowaną grupę ludzi. Każdy z nas musiał tę decyzję podjąć samodzielnie, indywidualnie, na własne ryzyko moralne. Co nas między sobą łączyło — to jedynie wspólny rodowód socjologiczny.

Uczciwa ocena wydarzeń rewolucji socjalistycznej zmuszała nas do podzielenia poglądu, że nie tylko ustrój kapitalistyczny szybkoimi krokami dąży do swego ostatecznego krachu, ale, że młody obóz wielkiej przemiany społecznej umie pozytywnie stworzyć perspektywę lepszej organizacji stosunków międzyludzkich. Stwierdzenie to nigdy nie oznaczało dla nas, jakoby ta perspektywa była już nie i nunc spełniona: można ją rozumieć tylko w ten sposób, że technika ustrojowa socjalizmu znalazła praktyczną odpowiedź na takie problemy jak klęska bezrobocia, czy równy start życiowy dla wszystkich, jak problem wyrównania wiekowych zapożnień w rozwoju cywilizacyjnym kraju, czy rzeczywistego awansu społeczno-kulturalnego najszerzego rzeszy obywateli. Przesłanki naszego wyboru były zatem tak samo polityczne, jak i moralne, w szerokim sensie tego określenia.

MIEJSCE W SPOŁECZEŃSTWIE

CZAS już na usunięcie dwóch myślnych sugestii, jakie łatwo można by wyprowadzić z dotychczasowych wywodów. Pierwsza z nich to mniemanie, że wszyscy ci młodzi katolicy formacji inteligentnej, należący do roczników, które weszły w życie w kilka lat po zakończeniu drugiej wojny światowej, ci właśnie katolicy, o jakich była mowa wyżej są działaczami politycznymi par excellence. Ten rodzaj aktywności publicznej jest tylko jedną z form, bynajmniej nie jedyną.

Być dobrym lekarzem, prawnikiem, inżynierem, urzędnikiem czy agronomem, spełniać wzorowo własne obowiązki zawodowe i być świadomym odpowiedzialności społecznej za własną działalność, rozumieć wagę społeczną wykonywania bodaj najmniej na pozór „ważnej” pracy, wykonywać swój zawód uczciwie i rzetelnie — oto, co znaczy pracować dla dobra społeczeństwa. Zastrzeżenie istotne, jakie poczynić tu wypada, jest następujące: nasza codzienna praca zawodowa — niezależnie od tego, do jakiej konkretnie dziedziny życia ona należy — musi być przez nas traktowana nie jako jakiegoś zło konieczne, bo „bez pracy nie ma kołaczy”, przeciwnie, musimy kształcić w sobie świadomość, że ten nasz codzienny wysiłek służy społeczeństwu, służy budowie lepszej, sprawliwszej organizacji stosunków między ludźmi. Tak swoje miejsce w społeczeństwie pojmując ci, co zdają sobie w pełni sprawę z tego, że przynależność do Kościoła katolickiego nie są gerucie związania z obozem wsteczności i reakcji społecznej, że wręcz przeciwnie, dyktuje obowiązek ofiarowania swej współpracy tam wszędzie, gdzie podejmuje się rzetelny wysiłek w kierunku rozsądnej przemiany zastanej rzeczywistości historycznej.

To wszystko, cośmy dotąd napisali, może nasunąć jeszcze inną myślną sugestię, tę mianowicie, że opisana droga ewolucji dotyczy wszystkich katolików pokolenia inteligentnego lat 30-tych. Dlatego trzeba mocno wywodzić raz jeszcze problem „ludzi bez ziemi”.

„LUDZIE BEZ ZIEMI”

JEST rzeczą oczywistą, że za kilkaset lat o losach naszego kraju decydować będzie to pokolenie, które obecnie nazywa się młodym pokoleniem narodu. Dzisiaj w naszych oczach i nie bez udziału naszych rąk, chociaż często poza naszą świadomością, dzieje się coś, co może być dla nas bardzo ważnym.

(Dokończenie na str. 9)

A gdzie spiesz?

„Poezja osobista” i „poezja społeczna”. Oto dwie rzekomo odrębne sfery działania poetyckiego. Skoro zaś odrębne sfery, to i odrębne formy działania. W poezji „osobistej” można „liryczyć” na wszelkie tony i sposoby; w poezji „społecznej” należy być monumentalnym. Szlachetność i doskonałość języka, spiszowy podźwięk strof; jeżeli śmiech — to albo krwawe szczyderstwo albo śmiech „przez łzy”; jeżeli wzruszenie — to podniosłe, ponadosobiste; jeżeli refleksja — to natury zasadniczej (coś z repertuaru: „memento mori”, „dulce et decorum est...” itd.).

Aż tu przychodzi taki, co w wierszu politycznym pisze: Noskiem króciutkim jak centymetr odmierza zwoje odległości, dzielącej światek rak matczynych od snów puchatych.

Tak to pozwala sobie Mikołaj Rostworowski w wierszu pt. „Mały” („Dziś i jutro”, nr 43/361). W podobnym tonie utrzymane są także wiersze „Wybory” i „Złotowa chusta” zamieszczone w tym samym numerze. Tematy owszem aktualne, wiersze całkiem — całkiem, ale gdzie spiesz? Poeto, gdzie spiesz?

Społu ani śladu. Bardzo przykra historia. Po przedzie wiersze o tematyce ponadpaństwowej, zgoła polityczne — i jakże tak? Bez spiesz? Dziwne, bardzo dziwne...

A może jednak nie tak bardzo? Może to właśnie dobrze, że tak a nie inaczej? Zważmy bowiem, skąd wziął się przesąd, że każdy wiersz „społeczny” powinien być albo hasłem bojowym, albo „rozdrapywaniem ran” („Trzeba rozdrapywać polskie rany”, jak mawiał Żeromski) albo mową pogrzebową nad trumną bohatera. Ten „imperatyw kategoryczny” patosu w poezji spraw ponadpaństwowych jest jedną z praktycznych konsekwencji odróżnienia człowieka jako „jednostki” i jako „członka społeczeństwa”. „Jednostka” sobie a „członek społeczeństwa” sobie. Poczucie wrotności i podrzędności roli „członka społeczeństwa” kompensowano podniosłą frazeologią okolicznościową. To nie mogło nie po dzielać na poezję, nie narzucać jej sugestii konieczności monumentalności, zwłaszcza że powaga tematów stwarza naturalne ciężenie ku powadze i dostojności tonu.

Cóż jednak skoro dla nas różnicę między „jednostką” a „członkiem społeczeństwa” poczynają się macierać? Skoro podział ten odczuwamy jako sztuczny i nieistotny? Inaczej zaczyna się nam rysować także zagadnienie poezji „osobistej” i „społecznej”. Granice ich stały się płynne; skłonni nawet byłibyśmy twierdzić, że ten po-

dział, jako oparty na zasadzie tematycznej, wydaje się nam dość waptliwy i że chętnie zastąpilibyśmy go podziałem na lirykę postawy indywidualistycznej i lirykę postawy solidarnościowej (nie solidarystycznej!) jako różnicującym nie tematy, ale ideologicznie.

Skoro jednak kwestionujemy sensowność wyodrębniania liryki osobistej, to nie w tym celu, by kusić ją monumentalizmem i spiszowością liryki „od wielkiego dzwonu”. Przeciwnie: skoro zanika rozróżnienie między jednostką a członkiem społeczeństwa, trzeba postuluować sprawadzenie poezji spraw zasadniczych do miar normalności wyrazu i uformalności apercpepcji czytelniczej. Po stu lat ten nie przekreśla bynajmniej prawa bytu poezji tytejskiej, monumentalnej, kwestionuje tylko jej wyłączność. I dlatego dobrze robi Rostworowski, że zagadnienie o wielkiej wadze i wielkim zasięgu transponuje na język poezji intymnej, na język wzruszeń lirycznych nie wieszczego wymiaru. Pokazuje bowiem w ten sposób, że zagadnienie owe stało się chlebem powszednim naszej myśli, że nie wyorebniamy ich sztucznie na użytek jakiegos fikcyjnego „członka społeczeństwa”, ale że jesteśmy ludźmi, dla których życie w kregu rzeczy wistoci społecznej jest faktem jak najbardziej oczywistym i bezspornym.

Stefan Lichański

Józef DUŻYK

KSIĄŻKA O RENESANSIE I HUMANIZMIE W POLSCE

NIE będzie przesadą, jeżeli pośmiertną książkę prof. Stanisława Lempickiego*) uznamy za jedno z najwybitniejszych dzieł naukowych w zakresie nauk humanistycznych, jakie ukazało się w ostatnich latach. Zresztą, gruby ten tom wydany w bieżącym roku przez „Czytelnika” nie potrzebuje superlatywów. Swą treścią da świadectwo o tym, że jest zjawiskiem niepospolitym i niecodziennym. Olsniewająca erudycja wybitnego uczonego, dała dzieło doskonałe. Słusznie — mimo zgłaszane zastrzeżenia — napisał w przedmowie Kazimierz Budrzyk, iż „Nie może dokładnie poznać Renesansu polskiego ten, kto nie przestuduje pilnie tej książki”.

Jest rzeczą zmienną, że dość często wielkie umysły naukowe posiadają talent pisarski. Ważne to, bo dzieło naukowe — jeżeli chce być po czytne, dostępne nie tylko dla znawców, ale i dla trochę liczniejszej grupy miłośników nauki — musi być napisane barwnie i żywo.

To samo potwierdza przykład książki Lempickiego.

Pisać o renesansie i humanizmie — to rzecz bardzo ponętna. Zwłaszcza dla naukowca, który jest równocześnie dobrym pisarzem. Porywa go bo wiem czar tej epoki wypełnionej po brzegi pięknem, z którym idzie ręka w rękę odczucie potrzeb człowieka, miłość do niego i niezmierna troska o jego doczesne sprawy. Wieki średnie dały wspaniałą architekturę i literaturę religijną o charakterze mistycznym; mało natomiast wniosły do wiedzy o człowieku, o jego życiu i potrzebach.

Ludzie nowej epoki zaczęli głosić: „Nie co ludzkie nie jest nam obojętne”. Doskonaliśmy typem takiego właśnie człowieka renesansu, który w pełni rozumie to hasło i realizuje je w swoim życiu, jest u nas hetman Jan Zamojski. Część trzecia książki Lempickiego nosi tytuł: „Ze studiów nad Zamojskim”. Cztery rozprawki „Pawda uczyniła mnie mężem”, „Protektor medycyny i medyków”, „Polski Medyceusz XVI wieku”, „Heidenstein czy Zamojski?” mają przede wszystkim na celu ukazanie wszechstronnych zainteresowań Zamojskiego i nakreślenie jego, głęboko zrosniętego z nim, humanizmu. Tenże Zamojski, prawnik z wykształcenia, autor książki „De Senatu Romano” był równocześnie wielbicielem medycyny. „Zainteresowanie się Jan Zamojskiego nauką lekarską i lekarzami ma charakter typowo humanistyczny”. On, który był uczniem filologa Karola Sigoniusa, studiował prawo u Deciana, a filozofię u Piccolominiego, słuchał również wykładów medyków padewskich Bassiana Landi i Gabriela Fallopiusa, „z którym nawet łączyły go węzły przyjaźni”.

Lempicki, jak zwykle, obrazowo podchodzi do zagadnienia: „I oto rysuje się w naszej wyobraźni na podobieństwo rembrandtowskiej Lekcji anatomii, jakiś obraz uczonej Lekcji Fallopiusa, jakiejś ciekawej sekcji, gdzie wśród głów nachylonych nad zwłokami a wsłuchanych równocześnie w słowa mistrza widnieje otwarte czoło i mądre oczy przyszłego, polskiego kanclerza i hetmana”. Po powrocie z Włoch, Zamojski w dalszym ciągu interesuje się medycyną. Zamierza założyć w Krakowie wyższą szkołę, w której i medycyna miała jakąś rolę odgrywać. Słę listy do „trzech znakomitości lekarskich w Padwie” prosząc o przybycie do Polski. Niestety, skończyło się na pięknych i wzniosłych planach. Tłumaczy to Lempicki opozycją duchowieństwa polskiego do Hozjuszem na czele, „który wietrzył w tym jakąś robotę dy-

sydenką, wrogą Kościołowi” oraz zbyt wygórowanymi i dalekosiężnymi pomysłami. Przyjacielskie stosunki z ambitnymi medykami włoskimi wykorzystał tedy Zamojski w inny sposób. Oto popiera zdolne jednostki polskie, ludzi — według jego mniemania — z talentem, których wysyła do Włoch, opiekuje się nimi i wyrabia im protekcje u tamtejszych sław lekarskich. Wyraziście rysuje się przed naszymi oczyma postać Zamojskiego, gdy czytamy piękne studia Lempickiego. Wielkość hetmana scharakteryzowano tu dobitnie od strony jego szlacheckich poczynań, które miały na celu podniesienie nauk polskiej na wyżyny. Zamojski „potrafił być znakomitym opiekunem nauk i literatury, szkół i uczącej się młodzieży, bo sam został do końca życia, w głębi bogatego swego ducha — czynnym uczniem, chociaż wielkie postępy kariery zwracają go ustawicznie w inną stronę (...) można go postawić w jednej linii z tymi wszystkimi opiekunami nauk, którzy — w pełnym świetle Odrodzenia — patronowali kulturze przede wszystkim z głębokiej namiętności, z przekonania, że tego wymaga od nich — własne ich, na ideałach antycznych urabiane człowieczeństwo”.

STUDIA nad Zamojskim to zaledwie jedna część tej przebogatej książki. Znakomity erudyta, czego się tknie, — da doskonały szkic, wynajdzie rzeczy nowe i olśni czytelnika ogromem swej wiedzy. Pokaże nam jak w kalejdoskopie postacie renesansowe, przedstawi ich ciekawe losy, ich twórczość, da obrazki ówczesnego życia wprost kipiącego ruchliwością wszechstronnych zainteresowań.

A więc część pierwszą noszącą tytuł „Ludzie Renesansu” pokazuje czytelnikowi wybitne postaci, z których kilka poznajemy lepiej dopiero dzięki Lempickiemu. Francesco Filelfo i Manucjusz — to humaniści prawie że nieznanymi bliżej polskiemu czytelnikowi. Niewielu z nas wiedziało, że Francesco Filelfo „ten największy pyszałek wśród geniuszów epoki, najwięksi — obok Pogoria i Carla Aretino — paszkwilant Renesansu, zdjął raz pokornie czapę z głowy i zapatrzył się w wizję warniejszą jak w tę czk”. Oczekiwał od Władysława — jak i cała Europa — zwycięstw. Prze powiednie i prorocтва Filelfo nie spełniły się jednak. Na polach Warny pod naporem większych sił legł zastęp zachodniego rycerstwa, a z nim młodzieńczą swą głowę położył król Władysław.

Aldo Manucjusz był „fundatorem drukarstwa greckiego w Europie”. H. Estienne, drukarz i uczone francuski w łacińskim wierszu głosił jego sławę:

Iż głośno mają imię i po całym świecie
Krają Greków, Muz synów, niezliczone
dzieła.
Aldowi to po wieki zawdzięczać
bedziecie,
Którego moc je najpierw w druku
kształt zakieła”.

Lempicki obszernie pisze o koneksjach polskich rodu Manucjuszów do chodzących do bardzo ciekawych wyników. Wynajduje niejakiemu Mikołajowi Manuzzi, który przebywał w Polsce w wieku XVIII i stwierdza, że należy on do bocznej linii sławnych Manucjuszów Renesansu Alda i Paola. Tych Manucjuszów sprowadziły do Polski w wieku XVIII „podobnie jak wielu Włochów Stanisławowskiej epoki — niewiadome dzisiaj sprawy i stosunki. Wniknęli potem w wielką, szarą masę szlacheckiego narodu, który przygarnął ich do siebie, jakby odwdzięczając się za promienie kultury, słane przed wiekami do Polski przez sławnych weneckich drukarzy i humanistów”. Długo jeszcze mieliśmy u trzymywać stosunki kulturalne z Włochami. Lempicki nakreślił „Węzły

kulturalne włosko-polskie” tylko w dobie Renesansu. „W następnych okresach, mimo ciągłej prawie wojennej grozy wiszącej nad Polską, stosunki z Włochami trwały dalej, bo za długo już tkwiły korzeniami w naszym gruncie, aby mogły zwiędnąć czy zmarnieć”.

Autor co stronę pokazuje coś nowego. Zasypuje nas imionami, dziełami, wydarzeniami. Ale czyni to wszystko tak barwnie, że epoka — niczym film — przesuwa się przed nami. Pokazuje się oto Erazm z Rotterdamu, „prawdziwy perpetuus viator, wędrowny humanista, profesor zarazem i uczeń wiecznie ląkający wiedzy, pisarz i autor”, który „przemierzał wśród licznych niebezpieczeństw i awanturnych przygod różnej okolicy, a w listach, obficie pisanych do przyjaciół, malował świetnie obrazki ówczesnych stosunków, swoje nocne jazdy przez lasy i góry, burze i pogody, napady rozbójnicze, noclegi po zakazanych jakichś oberżach, wesołe pijatyki przy kielichu i kościelach”, autor „Skargi Pokoju” (Querela Pacis), w której „odprawia Erazm bezwzględny sąd nad Europą. Wyciąga na światło dzienne wszystko co w polityce jest ciemne, niskie i podle, chociaż osłonięte najbardziej wzniosłą frazeologią. Potężnie rozległ się jego głos potępiający wojnę jako najstraszniejszą barbarę, zakale kulturę i chrześcijaństwo, jako urągowski nauce Zbawiciela i przyczynę wszystkiego zła (...) Cała natura Erazma, humanisty i toleranta, burzyła się przeciwko okrucieństwu wojny... Błagając i grożąc, żąda Erazm wypowiedzenia przez ludzkość wojny wojnie, żąda arbitrażu pokojowego (...) Spomiedzy dzieł Erazma ta niewielka „Skarga pokoju” miała może w sobie najwięcej zalet — nieodmienności i wieczności. Aktualności swojej nie straciła nigdy, a dzisiaj jest może bardziej aktualna, niż była wczoraj”. Bliska jest nam przede wszystkim postać humanisty Erazma zwłaszcza dziś; i bliska jest nam jego książka, którą znów powinno się wydać w okresie imperialistycznych pokrzykiwań wojennych.

Staje przed nami — wydaje się — dobrze już znany Kochanowski. Lempicki pisze o jego czasach, o jego łacińskich fraszkach, „pijanych piosenkach”, o trenach, o jego próbach epickich i o spowiedzi wielkanocnej. „Spowiedź wielkanocna” to świetny pod względem stylistycznym szkic przynoszący przekład ciekawego wyznania Kochanowskiego. Szlachetny poeta, którego dziś czcimy za postępową myśl, pisze:

Nie umiem przytakiwać na cudzą kō-
mende
Ani gdy przeczyć każą zaraz przeczyć
bede.
Ale wtedy „tak” mówię, kiedy prawdę
widzę.
Zresztą nigdy; bo kłamstwa z duszy nie-
nawidzę.
Drugi mój grzech, że bliźnich nie sadzę
z kalety
Ani ich nie szanuję dla złotej monety.
Lecz każdy u mnie szlachcic, i każdy mi
drogi,
Kto poczciwy i zacny, choć w złoto ubogi.

„Drobizgami Szymonowiczowski” — nie mniej ciekawszymi od poprzednich studiów — kończy Lempicki książkę.

Znakomity uczone próbował dać też w swym dziele i syntezę omawianego okresu. Wyszła ona jednak błada w porównaniu z przedstawionymi na innych kartach książki zagadnieniami i postaciami. Uznając za wystarczającą syntezę „Wiek złotego” zawartą w wydanej przed drugą wojną „Kulturze staropolskiej”, Lempicki, zaledwie na paru stronach charakteryzuje „Wiek złoty”. Autor w kilku miejscach pracy podkreśla brak opracowań poszczególnych zagadnień, podnosi potrzebę zajęcia się nimi, a książką swą nawołuje do badań nad epoką i ludźmi

Konrad CZARNOCKI

ARETINO

Umarł śmiejąc się.

Stendhal.

W ostatnich latach we Francji zapawała moda na dzieła Aretino, tego utalentowanego łobuza literackiego.

P. G. Dublin (*La vie de l'Aretino*) próbował jego rehabilitacji; M. C. Antoniadę poświęcił mu znaczną część swego wielkiego i doskonałego studium (*Trois figures de la Renaissance*); jako poeta, zajął się nim nawet w swoim czasie Guillaume Apollinaire; André Bellesort w swojej pracy o Aretinie wyciągnął z zakurzonych półek i Piotra Gauthiez i Philipa Chasles i paru Włochów, zajrzał nawet do Montaigne'a, a dwóch dramaturgów: de Bornier i Mortier wplątało fragmenty z jego życia w akcję swoich dramatów.

Czemu przypisać należy tę falę zainteresowań? Czy czasem nie pewnego rodzaju perwersji intelektualnej? P. G. Dublin twierdzi, że Aretino był po prostu wytworem swojej epoki, kiedy moralność nie mogła już być niższa, a kultura sztuki bardziej powszechny; jego powodzenie materialne i sukcesy literackie byłyby niemożliwe w innym okresie. Zapewne, przy rewizji jego działalności pisarskiej można by wprowadzić nieco okoliczności lagodzących, ale próby jego całkowitej rehabilitacji są chyba paradoksem. Stary Piotr Bayle napisał w swoim „Dykcjonarzu” krótko i wężłowato: *Piotr Aretino słynny przez swe pisma plugawe*. Beyle-Stendhal, w sto pięćdziesiąt lat później, był znacznie łaskawszy: *...głupcy go oczerniają, bo to przypada losom każdej opozycji. Pisał rzeczy mniej szkodliwe od Nowej Heloizy...*

M. C. Antoniadę dobrze zdefiniował rolę Aretino na tle ówczesnych wydarzeń, najazdów, gwałtów, zrad i morderstw uprawianych przez książką ówczesnej Italii: był to człowiek który rozumiał i wykorzystał wielki wynalazek XV stulecia — druk — a więc szybkie i szerokie rozprzestrzenienie nowiny; nie stworzył gazety, ale pierwszy wpadł na pomysł artykułu dziennikarskiego, jakim był np. jego list do Franciszka I po Pawli, list do Papieża po rabunku Rzymu i reportaż o ostatnich chwilach Jana Medyceusza. Nie ulega również wątpliwości, że Aretino wynalazł system zastraszania swych wrogów czy przeciwników piórem, że system ten udoskonalił i doprowadził do wirtuozyzmu. Poza tym napadał na każdego, kogo ocenił, że może się dobrze okupić, obawiano się go, płacono mu haracz. Wspomagał go złotem i Henryk VIII angielski i król Portugalii, podobno i nasza Bona. Chłubił się jego przyjaźnią udzielił książęta włoscy, wyzykiwał na przemian ich próżność i strach. Temperament satyryka, trzpiotowata rozpusta i „dobrze zawieszony język” — jak mówią Francuzi — nie pozwalała mu ograniczyć się do chwalebnych sonetów dla możnych tamtego świata, kasa ich zjadliwym rymem. „Schlebiał nierzemie ale rymowanie, chwalił cnoty i cnolliwych, więc rósł w dostatkę i pęczniał mu worek pod brokatową delią”. Ułomnościami przyrodzenia ludzkiego napawał się do syta dworzani papieski, płał swój geniusz poetycki z próżnością ludzką, panegiryzując kardynalskiemu kapeluszu i złotemu runu, laskom marszałkowskim i pieczęciom skarbowym. Ale i tych, opłacających się szczerze, ten *flagello dei principi* nie oszczędza i pośmiewiskiem ich bawi weneckich nobilów.

Nie uląkł się go jednak Michał Anioł, gardził nim, odmówił podania mu ręki i nie chciał sprzedać żadnej

ze swoich prac. Zemścił się na nim Aretino napastliwym pismem o jego freskach w kaplicy Sykstyńskiej. A ambasador angielski kazał go po prostu odcwicił kijami swojej służbie. Kiedy Tasso nazwał jego listy śmieszoną bezczelnością, odpisał mu: *w stylu swoich epistol jesteś moim naśladowcą, wstępujesz w ślady moich bosych stóp, upokorz się biedny Torquato...*

URODZIŁ się Aretino w r. 1492, w szpitalu miejskim w Arezzo, z niewiadomego ojca — stąd nazwa jego, Aretynczyk. — Jedni twierdzą, że był synem możnego pana, przejeźdnego szlachcica, ser Baccio; inni, że skromnego szewca miejscowego, (Bellesort głosi za szewcem) i matki modelki-kurtyzany, Tity z Arezzo. Liczni jego biografowie nie wiele wiedzą o jego młodzieńczejszych latach. W trzynastym roku życia ucieka z domu, ale na krótko. Wezwanie rozpoczął rymować zreczne sonety, a jeden z nich — o odpustach kościelnych — zmusza go do opuszczenia rodzinnego miasta. Wędruje po kraju, jest intronigatorem w Perugii, śpiewakiem ulicznym w miasteczkach lombardzkich, służebnym w gospodzie bolońskiej, mnichem w Rawennie. Ale prędko zrzuca habit i około 1517 jest w Rzymie. Pochlebny, wychwalający sonet, wręczony Leonowi X i szczerda zań zapłata jest początkiem jego wielkiej kariery literackiej. Wkrótce już zaczyna być sławnym w Rzymie. Julian Medyceusz, kuzyn papieski, późniejszy Klemens VII, obdarza go złotem i wspaniałymi wierzchowcem.

Oto Aretynczyk już wypłynął na powierzchnię, jak piana na bujnej fali życia. Po śmierci Leona X stowarzysza się, nie bardzo to ukrywając, ze słynnym Pasquino, prekursorem zjadliwych diatrib, zawierających swe utwory na antycznym posągu Herkulesa. Ta współpraca, właściwie oceniana, czyni pobyt jego w Wiecznym Mieście niebezpiecznym. Na dworach książąt włoskich przeczekuje krótki okres surowego, ascetycznego pontyfikatu wroga Piękna i Sztuki, flamandczyka Hadryana VI. Wędruje do Neapolu, Bolonii, Pizy, goszczą go kolejno panujący książęta w Mantui, Ferrarze, Urbino. Po wstąpieniu na tron papieski jego protektora, Juliana Medyceusza, powraca. Klemens VII mianuje go wkrótce Kawalerem Rodyjskim. Jego paszkwile otwarcie już kursują po Rzymie. Ale znów przebiega się miarka i wpada w nową awanturę. Pisze szesnaście wierszydek: *Sonetti lusuriosi*, do cyklu również rozważliwych rysunków Juliana Romano, sztychowanych przez Marautouia Raimondi'ego. Mają one wielkie powodzenie, szyćcharz odbija liczne edycje. Docierają do Watykanu, papież jest oburzony, wtrąca Raimondi'ego do więzienia (Romano zdążył drapać), ale ma słabość do poety i ogranicza się do gróźb i surowych wymówek. Aretino mści się za naganę serią złośliwych epigramatów.

Klimat rzymski staje się znów zbyt gorący dla Aretino, dłuższy pobyt zaczyna być niebezpieczny, zwłaszcza po zamachu, zorganizowanym przez jego wrogów na powracającego nocą z konnej przejażdżki. Dostaje dwa pchnięcia sztyletem i ciężką ranę w rękę. Udaje się pod opiekę jednego ze swych wielkich protektorów i zwolenników, Jana Medyceusza, księcia Toskanii. W czasie pobytu Franciszka I w Mediolanie, Medyceusz przedstawia go królowi. Swada i humor Aretino pasują do tego wesołego monarchy, jest nim zachwycony i chce go zabrać na swój dwór, do Francji, jak później Leonarda da Vinci. Wtedy to zostaje mu obiecany ów słynny, drogocenny

(Dokończenie na str. 9)

*) Stanisław Lempicki, *Renesans i Humanizm w Polsce*. Materiały do studiów. Słowo wstępne Kazimierza Budzyka. 1932. Czytelnik. Str. VI+474.

Tadeusz WIERZBICKI

WALKA Z PODSTĘPNYM WROGIEM

Jeśli gdzie można użyć z całą słusnością powiedzenia, „sądzicie po skutkach“, to właśnie w wypadku alkoholizmu. Dopiero znając społeczne skutki alkoholizmu możemy w pełni ocenić szkodliwość tego nałogu. A skutki są tragiczne. Temu właśnie problemowi poświęcona jest wartościowa i ze wszelkich miar na uwagę zasługująca praca prof. Batawii.^{*)} Lecz zanim przejdziemy do szczegółowego jej omówienia należy podać kilka wprowadzających cyfr: statystyka wskazuje, że na stu badanych nałogowych alkoholików 34 spośród nich jest niewykwalifikowanymi robotnikami, 29 wykwalifikowanymi, 16 rzemieślnikami, 6 drobnymi urzędnikami i 3 wreszcie szefami. Tylko część z nich (41) ukończyła 7 klas szkoły powszechnej, a 8 było uczniami szkół średnich. Więcej niż połowa (57%) nie przekroczyła 40 roku życia; wielu z nich, bo aż 65% miało ojców alkoholików i wychowywało się w środowisku pijanego nałogowego wódki.

Po tych wstępnych informacjach pierwsze zasadnicze pytanie: od ilu lat ci badani alkoholicy poczuli nałogowo pić? Otóż aż 24% badanych, mających obecnie powyżej 30 lat) zaczęła pić nałogowo przed wojną. Uderza tu po każdym liczbą ludzi, którzy zaczęli nałogowo pić dopiero po wojnie, przy czym wiek nie odgrywa tu istotnej roli.

Drugie pytanie: jak często badani brwali pijani? Niestety obrzuciła większość, bo aż 86 unia się 3 i więcej razy w tygodniu (wśród nich 47 aż 5-7 razy na tydzień). W cyfrach tych mieści się odpowiedź na dalsze zasadnicze pytania: jak pracują i z czego żyją ci ludzie? Otóż nie ma wśród nich nie tylko przodowników pracy, lecz i przeciętnie dobrych pracowników trafiają się bardzo rzadko. Na 100 w ogóle nie pracuje lub pracuje tylko dorywczo 14 osób, długie przerwy w pracy miało 10 osób, a 51 osób często spuszcza dni pracy. Dodatkowe charakterystyczne światło rzuca fakt, iż nałogowi alkoholicy często zmieniają pracę. Oto jedna z przeważnie szkodliwej płynności kadr. Posłuchajmy kilku wypowiedzi żon alkoholików na ten temat: „Po wojnie nie chciałem iść do pracy. Od połowy 1946 r. do stycznia 1950 r. sześć razy zmieniał miejsce pracy, dwukrotnie był zwalniany za pijactwo, raz wyrzucono go za fałszowanie kmitów kasowych i przywłaszczenie pieniędzy...“ A inna wypowiedź: „Nadzie nie pracował dłużej niż pół roku... Kilkakrotnie dokonywał drobnych kradzieży...“ Można by te wypowiedzi mnożyć.

Lecz nie tylko gospodarka narodowa na tym cierpi. Jeszcze może większe straty ponosi życie społeczne i rodzinne na skutek coraz bardziej podlegającej się degradacji

osobowości alkoholika. Zanika stopniowo reakcja uczuciowa w zakresie uczuć wyższych, następuje zobojeźnienie w sprawach rodzinnych, zawodowych i społecznych. To stopniowe uczucie łączy się ze wzmożoną drażliwością i wybuchowością, niemożnością opanowania się, zanikiem energii i zdolności do wysiłku oraz ubytkami intelektualnymi. Poziom kulturalny i zakres zainteresowań katastrofalnie się obniża i zacieśnia. „Nie go nie obchodzi, nie go nie interesuje ani żona, ani dziecko, gazety nie przeczyta... przez stałe opuszczanie — oto stereotypowa wypowiedź wielu żon alkoholików.

SKĄD biorą cni pieniądze na wódkę? Odpowiedź jest prosta. Idzie na to większa część a nieraz i cała pensja, a w razie potrzeby czerpie się z nielegalnych źródeł. Wg dokładnych obliczeń prof. Batawii alkoholicy zarabiający poniżej 500 zł miesięcznie przepijają przeciętnie 285 zł, a na utrzymanie domu oddają tylko od 20 do 36% swego zarobku. Nie lepiej przedstawia się sprawa z zarabiającymi powyżej 500 zł, gdyż przemiała oni przeciętnie 527 zł miesięcznie i oddają na utrzymanie rodziny tylko 36—40% zarobków. Średnia przeciętna nie daje wobrażenia o wielkości tych grup, które wcale lub tylko w minimalnym stopniu przyczyniają się do utrzymania domu. Z tego punktu widzenia w badanej grupie 25% alkoholików nie daje na utrzymanie domu, a 19% oddaje żonom zaledwie 25% swych zarobków. Tych zaś co dają więcej niż połowę swoich zarobków jest w I grupie (do 500 zł) tylko 13%, a w grupie II (pow. 500 zł) 33%. Nie więc dziwnego, że w domach nałogowych alkoholików panuje skrajna nędza: rodzina nie dożywna, stan odzieży katastrofalny, wyposażenie w meble bardzo lihe. Gdy nie starcza na wódkę, ojciec-alkoholik sprzedaje zazwyczaj kolejno wszystko, co może wynieść z domu.

Posłuchajmy paru typowych ustępów z wywiadu: „Dzieci nie mają obawy na zimę, żona chodzi stale w jednej podartej sukience. Alkoholik ma z odzieży tylko to co na sobie...“ „Mała izba, w której mieszka alkoholik z rodziną, jest ciemną komór-

ka z przeciekającym sufitem. Mieszczą się w niej łóżko-barłóg, na którym śpi żona z trojgiem dzieci, rozlatująca się kozetka, stolik i dwa krzesła. Zupełny brak garderoby i bielizny. Żona wychodząc na ulicę musi się okrywać kocem pożyczonym od sąsiadów...“ — A w innym wywiadzie: „Odżywienie bardzo złe... W mieszkaniu nie ma prawie żadnych mebli“.

PIEKŁO ŻON I DZIECI ALKOHOLIKÓW

NAJNIESZCZĘŚLIWSZĄ istota w rodzinie alkoholika jest niewątpliwie żona. Na nią spada nie tylko troski materialne o utrzymanie domu, lecz musi ona przeżywać udrękę pojęcia z nałogowym alkoholikiem, który nie jest już człowiekiem normalnym. Ciągła walka o byt i walka z mężem, wyczerpuje te kobiety nerwowo i fizycznie (51 spośród tych żon cierpi na różne schorzenia narządów wewnętrznych, w tym 18 na serce). W 20 przypadkach na 100, żony ponoszą ciężar utrzymania domu w 100%, a w 38% wypadkach od 50 do 99%. Ponadto mąż-alkoholik popędza szereg ekscesów, które zagrażają zarówno zdrowiu moralnemu jak i fizycznemu otoczenia. Oto parę przykładów: „Po pijanemu rozbił mi głowę. Przed rokiem po pobiciu poroniłam w 6 miesiącu ciąży. Mąż sypia z sasiadką i siewiera pod poduszką, w nocy biega nieraz po pokoju z siekierą i krzyczy, że musi mnie i dzieci wykończyć...“ — „Nie pozwala mi pracować chociaż nie mam z czego żyć... bije mnie, łamie meble. Nawawia suna by mnie dokuczał, to się wroty wykończy, a on będzie miał władę matką... ostatnio namawiał do stosunków 14-letnią córkę...“

A sytuacja dzieci w tych warunkach? Równie tragiczna jak matki. Alkoholizm ojców, atmosfera domu, braki w odżywianiu odbijają się fatalnie na rozwoju fizycznym i psychicznym dzieci alkoholików. Nerwo-

wość, agresywność i lekkość oraz wszelkiego rodzaju zaburzenia (np. mowy) występują bardzo często. Na ogólną liczbę 147 zbadanych dzieci (od 1 do 14 lat) stwierdzono niedorozwój umysłowy w 25 przypadkach, ościężałość umysłową w 4, gruźlicę w 19, a choroby serca w 11 przypadkach.

Wieczny zaś strach przed ojcem, nienawiść do niego (np. jeden chłopiec o ojcu mówi: „ten łajdak“) i poczucie głębokiej krzywdy fatalnie wpływają i na psychikę dzieci.

MOŻE NIE JEST TAK ŻŁE

MÓGŁBY jednak ktoś postawić autorowi zarzut, że skład badanej grupy 100 rodzin daje obraz zbyt jednostronny a więc nietypowy. Barwy, którymi jest malowany, są zbyt czarne. Niestety jest to tylko nasze życzenie. Otóż autor w celu upewnienia się co do wiarygodności zebranego materiału przeprowadził dwa dodatkowe badania. Jedno ankiety w dwóch zakładach przemysłowych wśród przypadkowo zebranych na sali robotnic meżatek, o których meżach nie było wiadomo. Otóż okazało się, że na 61 aż 26 tj. 38% przypadkowo zebranych na sali kobiet miało meżów będących nałogowymi alkoholikami, z których połowa przynajmniej 50% zarobków, prawie połowa uniała się codziennie, 17 z nich było żon, 12 zabierało im pieniądze, 10 demolowało mieszkanie itp.

Drugie badanie za pomocą kwestionariusza przeprowadzono w paru zakładach fabrycznych wśród 200 robotnic, których meżowie, „dużo pija“.

Wyniki, które otrzymano w pełni potwierdziły typowość 100 badanych rodzin. Dla pełnego obrazu poważ sytuacji zauważmy, że w badanych 100 rodzinach zaledwie 11 alkoholików leczono się przez pewien czas w przychodniach przez-walkholowych (na ogół bez wyników), a jedynie 7 przebywało w szpitalu dla psychicznie chorych (i to krótko). Ludzie ci, jako ciężko chorzy powinni być poddani zamkniętemu leczeniu szpitalnemu, lecz w szpitalach nie przebywają; wielu z nich powinno być poddanych do odpowiedzialności za życie swych żon i

dzieci, ekscesy seksualne, demolowania mieszkań itp. Losem tych rodzin powinny zainteresować się towarzysze pracy, członkowie rad zakładowych i związków zawodowych. Zainteresowania takiego na ogół brak. Nadal alkoholicy otrzymują — jak pisze autor — zarobki do swych rak, by wkrótce je przepić.

Wreszcie należy podkreślić, że wyniki tych badań unoczniają nam wagę społeczną nie tylko zagadnienia alkoholizmu ale i nagminnego zjawiska nadużywania alkoholu przy różnych okazjach przez setki tysięcy obywateli. Wśród nich wielu stopniowo stacza się ku alkoholizmowi nałogowemu. Walka więc powinna toczyć się przeciwko masowemu spożyciu alkoholu w ogóle.

Książka prof. Batawii jest dzwo-nem alarmowym i dlatego powinna znaleźć jak najszersze rozpowszechnienie (niestety dość wysoka cena 23 zł nie sprzyja temu) wśród lekarzy, nauczycieli, członków Rad Zakładowych, działaczy społecznych, funkcjo-nariuszy władz bezpieczeństwa, pracowników itp.

Walka z alkoholizmem jest poważnym i zobowiązującym nakazem. Wydaje się, że walka ta trzeba prowadzić różnymi metodami i na wielu odcinkach, począwszy od walki ze zwyczajami (np. „towarzystwi przy-mus“ picia), które czynią alkohol nieodłącznym momentem wszystkich naszych rodzinnych uroczystości; poprzez walkę z błędnymi przesądami co do leczniczych właściwości alkoholu; i wreszcie walkę z pobłażliwą postawą wobec faktów upijania się. Szerzenie trzeźwości przez wszystkie organizacje i wzajemne uświadamianie sobie grozy sytuacji jest konieczne. Po-mocą może być wytworzenie w opinii społecznej wzorów kulturowych, w których jednym z elementów zasadniczych byłaby trzeźwość. Świadomość dezaprobaty w oczach całego społeczeństwa wzmacniałaby słabą wolę owładniętych tym nałogiem. Jeżeli zaś chodzi o nałogowych alkoholików to pozostaje jeden tylko środek postępowania przez prof. Batawii: przymusowe leczenie.

Tadeusz Wierzbicki

Po zjeździe polonistów

WIEKIM seminarium, tym tylko różniącym się od innych seminarium, że prowadzonym przez młodzież — nazwał prof. Tadeusz Mikulski czterodniowy (Poznań, 15.XI. — 18.XI.1952) VI ogólnopolski Zjazd studentów filologii polskiej. Cokolwiek wypadnie powiedzieć w tych pozazdowych warunkach — nie wolno zapominać, że zespół referentów i dyskutantów w przeważającej większości rekrutował się spośród bardzo młodych roczników nowej kadry polonistycznej. Ten specyficzny charakter Zjazdu może być i w znacznej mierze jest usprawiedliwie-niem niedocinaniem, on również pozwala szczególnie się cieszyć niewątpliwymi tego Zjazdu osiągnięciami.

Tegoroczny Zjazd w zasadzie poświęcony był powojennej literaturze polskiej, w praktyce jednak — mało uwagi poświęcono wczesnemu okresowi naszego piśmiennictwa po roku 1945. I tak — słabemu zresztą referatowi zespołu wrocławskiego o poezji lat 1948—1951 zabrakło „ta“, gdyż nie przedstawiono zjazdowi referatu o poezji 1945—1948. Jeśli, jak najbardziej słusznie, znalazły się w programie Zjazdu referaty o twórczości Lucjana Szałwala i Tadeusza Borowskiego, to czemu pominięto Ksawerego Pruszyńskiego? Dlaczego nie usłyszeliśmy ani słowa o prozie Jarosława Iwaszkiewicza? Czy nie było wskazane zająć się dorobkiem pisar-skim laureata terrorocznej nagrody pań-stwowej, Tadeusza Brezgu? Czy nie mo-żna było poświęcić trochę czasu powie-ści historycznej?

— Odpowiedź ktoś zapewne, że Zjazd trwał zaledwie cztery dni, że nie chciano dublować tego, co zrobili już do-brym krytycy i Wyka: „Pogranicze powieści“, R. Matuszewski; „Litera-

tura po wojnie“. Ważyk: „W stronę humanizmu“, że ambicją Zjazdu było postawić zagadnienia nowe. Ten ktoś będzie miał częściową rację. Częściową, i tak nie dało się uniknąć korzystania z przemysłów tych krytyków i późniejszych (Kierczyńska: „Snór o realizm“, R. Matuszewski: „Literatura na przelomie“) tomów krytyczno-literackich; bo wreszcie — z pewnej już perspektywy — inaczej wartościujemy te same pozycje pisarskie — przykładem ocena twórczości Adolfa Rudnickiego i Wojciecha Żukrowskiego, o czym niżej.

Metoda rozmyślań „dlaczego nie te?“ dochodzimy — zdaje się — do wniosków t w i e r d z ą c y c h. Otóż niezaprzeczalnie organizatorem zależało p r z e d e w s z y s t k i m na ukazaniu p r z e t o m u w naszej literaturze powojennej, a na-lizie współczesnej twórczości literackiej pod kątem dążenia ku r e a l i z m o w i s o c j a l i s t y c z n e m u, na ocenie dorobku autorskiego pisarzy z p u n k t u w i d z e n i a postulowanej przez marksistów poetyki.

Nie podzielać we wszystkim światopoglądowych koncepcji marksizmu jesteśmy zwolennikami realizmu w literaturze, toteż zastrzeżenia nie umniejszają faktu, że warto było do Poznania pojechać, referatów i dyskusji wysłuchać. Warto było zapoznać się z omawiającym twórczość K Brandysa dobrym, naukowo re-zygnującym referatem Andrzeja Lema (współautora — z H. Berezą — jesz-cze drugiego udanego referatu o „Pamiętnie z Celulozy“ Igora Neverlu), warto było usłyszeć doskonale odkryw-

cze omówienie powojennej twórczości Adolfa Rudnickiego. Trafnie zauważył w dyskusji Ryszard Matuszewski, że autor cyklu „Epoki wielkich pieców“ i „Palenizki“ czekał na s w e g o krytyka. Ten bardzo trudny pisarz znalazł go w Helenie Zaworskiej i j. Z rzadką jedynowistością zgodził się wszyscy, że referat jej był najlepszy i najciekawszy. Nie znaczy, to, byśmy nie mieli sądzić, że szerzej niż autorka należy pojmować sens h u m a n i z m u, trudno jednak zaprzeczyć, że wypowiedź jej poszczycić się mogła wewnętrzną konsekwencją i zachowaniem właściwego związku analizy formalnej z ideą. Zaworska wykazała, że jest krytykiem bardzo surowym lecz sprawiedliwym.

Tym bardziej przykró napisać teraz, że inny większy referat monograficzny o Wojciechu Żukrowskim (autorstwa zespołu wrocławskiego) był słaby i nie przekonujący. Dyskusja potwierdziła, że referat ten jest smutną pozostałością przezwyjętą już w krzywe literackiej wulgarnego socjologizmu.

Referat o Tadeuszu Borowskim (przedstawiony również przez Wrocław) był w dyskusji chyba zanadto skrytykowany. Mimo swe braki, jest on wartościową pracą, zwłaszcza wobec trudności odszukania wszystkich publikacji tego świetnego, przed-wczesnie zmarłego pisarza. Z grupy referatów „zagadnieńowych“ najciekawiej wypadł problem bohatera pozytywnego, opracowany przez Włodę Billipa i Józefa Rurawskiego.

Dwa ze to zdecydowanie najlepsze cłoć przyznać trzeba najtrudniejszemu

do opracowania referatu kra-kowskie, to próby syntez, o powojennej dramaturgii polskiej i o krzywe literackiej w dążeniu ku realizmowi socjalis-tycznemu.

Referaty były właściwie mniej lub bardziej zgrabną wziętą cytatów z pracowicie przetworzonej lektury przedmiotu, w dodatku zaś skłaniały się ku zbyt ogólnikowemu potępieniu najwcześniejszego okresu w naszej literaturze powojennej.

Słabą stroną zjazdu było omawianie poezji. Liczy się tu jeden tylko referat Jacka Trznadla o wybranych zagadnieniach z twórczości Mieczysława Jastruna, mianowicie — o realizmie socjalis-tycznym w poezji autora „Poematu o mowie polskiej“. Zwężenie tematu odbiło się trochę niekorzystnie na o-ni-zie dorobku poety z lat 1948—49, zwłaszcza zaś na ocenie „Sezonu w Alpach“.

Zalować trzeba, że zjazd nie stał się precedensem do spotkań polonistów z literatami. Spośród pisarzy, o których więcej się na zjeździe mówiło, jeden tylko Mieczysław Jastrun przybył do Poznania, by pięknym przemówieniem jeszcze bardziej zatrzeć dysto s m i d u twórcą a odbiorcą jego pięknych wierszy.

Zjazd poznański na pewno się przy-dul. Zwrócić uwagę studijującej młodzieży polonistycznej na konieczność żywego zainteresowania się literaturą współczesną i — swymi zdobywcami, a nawet błądami — nauczyć może jej prawdy, o której — witając zjazd — mówił Jarosław Iwaszkiewicz, że — analizując utwór literacki — trzeba więcej aniżeli dążyć do poznania wiary w tekst autorski, więcej niż w pisarza.

List do Redakcji

Do Szanownej Redakcji „Dziś i Jutro“

Z OKAZJI wydrukowania w „Dziś i Jutro“ noweli „Benefis Życia“ Alfreda Gerarda składam Szanownej Redakcji moje serdeczne kondolenie. Nie znam pobudek, które skłoniły Was do tej publikacji, ale jeśli chodziło o danie dla przestrogi pi-szaczom cennego przykładu grafomanii, to należało zamieścić również od-powiedź przyniesek Redakcji. Dlatego miałem pokusę sparodiować ten utwór, ale zrezygnowałem z tego ryciła. Każdą rzecz można sparodiiować gdyż nawet wzniosłość jest bliska śmiechowi ale w tym wypadku to jest zabzdurna a raczej niewykonalna. „Benefis Życia“ jest bowiem dos-konałe śmieszna, nieprawdopodobna parodia dobrej prozy i artystycznej miary. Równorzędnie do formy, treść noweli jest fragilkomiczna, kasmarna groteska, zamaskowaną wystawą erotomanii i alkoholizmu, rzucaną nieszczęśliwie na tło ewangelicznych god-łów. Ja wierzę, że na autora Benefisu „zawszad nadlatują wciąż nowe przestrogi“ i że nosi on w swej potężnej pierśi ogrom. Ale mówiac jego słowy, ten „ogrom rozrastający się w piersiach — aż mdli“.

Łączę wyrazy poważania

Tadeusz Kordyars

Michał NOWACKI

S P O W I E D Ź D Y P L O M A T Y

ZADNE pamiętniki, wydawane za życia nie wzbudzają zaufania. Wspomnienia, wygrzebane z prywatnych archiwów, pisane dla własnej przyjemności lub dla rodziny, albo też przeznaczone do wydania po śmierci, dają nam często ciekawy obraz minionej epoki, przede wszystkim zaś możliwość poznawania mentalności ówczesnych ludzi, ich sposobu reagowania na wypadki, które obserwowali lub w których dane im było brać udział.

Z czasem jednak gdy nie znajdujemy w nich nowych informacji, a jedynie odczytujemy ogólniki o stosunku autora do spraw powszechnie znanych odkładamy przejrane pamiętniki z uczuciem poniekąd straconego czasu. Odnosi się to całkowicie do tekstu ogłoszonych w Niemczech zachodnich „Wspomnień” Ernst von Weizsäckera.*)

Jeżeli pomimo tego zatrzymujemy naszą uwagę na tych pamiętnikach, to nie tyle ze względu na treść dokumentarną omawianej książki, ile w związku z osobą jej autora. Przemówił przecież faktyczny kierownik agend Ministerstwa Spraw Zagranicznych III Rzeszy, skazany przed paru laty przez trybunał amerykański za zbrodnie wojenne jako pierwszy oskarżony w procesie wyższych urzędników reżimu hitlerowskiego. Nie dziwny się, że dla ratowania własnej skóry bronił się on przed udowodnionymi zarzutami za pomocą wszelkich sposobów: obłudny, kłamstwa i przemilczania rzeczy dla niego niewygodnych. Ciekawe jest jednak jaką taktykę, jaką metodę obrony wybrał ten skompromitowany polityk, jakim językiem przemówił on w dzisiejszej rzeczywistości politycznej Niemiec zachodnich, aby uzyskać od amerykańskich okupantów zwolnienie z więzienia.

Powiedzmy zgóry, że umiał on w dość cennie znaleźć potrzebny dziś ton, gdyż po wyroku skazującym go na 7 lat więzienia, rewizja procesu, do konana przez Amerykanów, zmniejszyła mu karę do 5 lat. W praktyce, niespełna rok po wyroku był już na wolności. Okres pobytu w więzieniu użytkował na napisanie omawianych pamiętników. Równocześnie z opuszczeniem przez niego celów więziennej na półkach księgarskich ukazały się wydrukowane już pamiętniki. Nie mogło się to stać bez wiedzy i aprobaty władz amerykańskich, które wyraźnie uznały, że pamfletem tym Weizsäcker zasłużył na ułaskawienie.

Srodowisko, z którego pochodzi Ernst von Weizsäcker, wycisnęło zdecydowane piętno na jego charakterze i poglądach. Ojciec jego był ostatnim premierem króla Wirtemberskiego. Autor podkreśla z nasickim, że był zawsze monarchistą i że jako „patriota niemiecki” entuzjastycznie się dziełem Bismarcka. Zdecydował się więc służyć wielkości i ekspansji Rzeszy w szeregach utworzonej właśnie marynarki wojennej. Dodajmy, że faworyzowanie przez Wilhelma II floty, otwierało mu drogę do szybkiej i łatwej kariery. Lata służby przedwojennej i wojennej przeszły mu na stanowiskach sztabowych, w gabinecie wojakowym cesarza i w charakterze pierwszego adiutanta dowódcy floty niemieckiej. Klęska Niemiec zastała go jako przedstawiciela marynarki w kwaterze głównej Hindenburga.

Weizsäcker stara się usilnie zaznaczyć, że stanowiska te nie były politycznie ważne a wobec znanej roli admirała Tirpitz'a w imperialistycznej polityce Rzeszy zastrzegła się od razu, że należał do kliki perso-

nalnej, niechętniej Tirpitzowi. Już wówczas formułował jednak owe credo polityczne, które jednobarwną nia przewijać się będzie przez cały ciąg jego wspomnień.

Autor jest zbyt inteligentnym dyplomata, aby brutalnie stawiać „kropki nad i”, zachwalając a priori konieczność współpracy z Anglosasami. Głosi więc jedynie tezę, że w swej sytuacji geopolitycznej Niemcy muszą zawsze być zdecydowane czy idą z Zachodem przeciwko Rosji, czy też odwrotnie, ze Wschodem przeciwko Anglo-Amerykanom. Odchylenie się od wyraźnego wyboru tych ewentualności doprowadziło — jego zdaniem — do katastrofy niemieckiej w pierwszej i drugiej wojnie światowej.

W całych pamiętnikach nie znajdujemy nigdzie konkretnej opcji na rzecz jednej z tych dwóch możliwości. Weizsäcker ubiera się w togę patrioty który dla „dobra” ojczyzny gotów jest wykorzystać każdą nadarzącą się okazję. W gruncie rzeczy przeprowadza jednak systematycznie myśl, że tylko porozumienie z Zachodem przeciwko Rosji, a następnie Związkowi Radzieckiemu odpowiadało zawsze interesom Niemiec.

Od początku podkreślał wspólne więzy łączące flotę niemiecką i brytyjską, uważał Traktat Wersalski za wielki błąd Entente'y, który utrudniał przyciągnięcie Niemiec do „konstrukcyjnej” współpracy, pocieszał się chwilowo tym, że stanowisko Entente'y umożliwiło zdławienie rewolucji niemieckiej. Potem aprobował politykę Stresemanna, entuzjastycznie się wszelkimi rokowaniami między hitlerowcami a Wielką Brytanią, występował przeciwko pakto- wi z 24 sierpnia 1939 r., patronował kontaktom pseudo-opozycjonistów antyhitlerowskich z Amerykanami i Anglikami, sam nawet, jak twierdzi ze względów ideowych i patriotycznych, dostarczał rzekomo rządowi brytyjskiemu tajnych informacji o planach zabórzych hitlerowców. Robi to w ten sposób, aby czytelnik sam wyciągnął wniosek, iż dziś jedyną drogą dla Niemiec zachodnich jest udział w Pakcie Atlantyckim.

PODCZAS rewolucji niemieckiej 1918—1919 r. monarchista Weizsäcker wahał się czy nie wycofać się, na znak protestu, do życia prywatnego. Chwilowo pracował w zakamuflowanych sztabach marynarki, działających m. in. pod szyldem komisji rzeczoznawców do spraw traktatu pokoju. O pozostaniu na służbie państwowej zdecydowało zetknięcie się Weizsäckera z Noskem. Trudno o bardziej wyrazistą charakterystykę ówczesnej sytuacji politycznej w Niemczech, jak opowiedziana przez autora rozmowa z tym pseudo-socjalistycznym ministrem wojny.

Działalność biura, w którym pracował Weizsäcker, kontrolowana była przez delegatów Rady Marynary. Reakcyjni oficerowie uważali, że w tych warunkach nie mogą prowadzić swej tajnej pracy, to też ich delegacja, z Weizsäckerem na czele, udała się do Noskego z żądaniem usunięcia marynary. Noske prosił, aby nie stawiać sprawy na ostrzu noża, gwarantując, że w ciągu trzech dni usunie delegatów Rady Marynary. Słowa swego dotrzymał, a Weizsäcker wyciągnął z tego słuszny wniosek, że prawnicowi socjaliści są niegorszymi od junkrów obrońcami militarystyki niemieckiej.

Nie mając już żadnych skrupułów, przeniósł się więc do służby cywilnej w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Był kolejno konsulem w

Bazyli, radcą poselstwa w Kopenhadze, kierownikiem wydziału centrali M.S.Z. i członkiem delegacji niemieckiej na posiedzeniu Ligi Narodów w Genewie, wreszcie posłem w Norwegii. Na tym stanowisku zastał go przewrót hitlerowski. Weizsäcker stara się zgromadzić możliwe dowody, aby wykazać, że był przeciwnikiem narodowych socjalistów i że nie cieszył się zaufaniem z ich strony. Dziwnie jednak wygląda na tym tle jego natychmiastowe powołanie do Centrali dla dokonania czystki personalnej w aparacie Wilhelmstrasse, a następnie, po krótkim pobycie na stanowisku posła w Bernie, powierzenie mu ekspozycyjnych funkcji dyrektora Departamentu Politycznego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Co więcej, po objęciu przez Ribbentropa kierownictwa dyplomacji Rzeszy hitlerowskiej, ten ostatni wybrał właśnie Weizsäckera na stanowisko podsekretarza stanu, z tym, że przy ciągłym przebywaniu Ribbentropa u boku Hitlera, na niego spadło faktyczne kierowanie tym urzędem.

Przy każdym powoływaniu go przez hitlerowców na nowe wyższe stanowisko, Weizsäcker, jak twierdzi, zastanawiał się stale, czy ma wycofać się ze służby, lecz ostatecznie przyjmował nominację rzekomo w imię „nie otwierania miejsca dla kogoś gorszego” i w „nadziei, że zdola wykorzystać swe stanowisko dla służenia sprawie pokoju”. Jest to, jak wiadomo, stara śpiewka wszystkich oportunistów. Mamy wszelkie prawo podejrzewania, że frazesy te maskują tylko ex post zwykłe karierowiczostwo naszego pamiętnikarza. Pozwala mu to ubrać w ładniejszą formę znany fakt wstąpienia do partii i przybrania się w strój S.S.-mana.

Powodem słuszności tego podejrzenia są dalsze wywody Weizsäckera w jaki to sposób walczył on o pokój. Bliższe wejrzenie do tekstu pamiętników pozwala stwierdzić, że zabórce cele hitlerowców bynajmniej nie oburzały naszego dyplomaty. Przeciwnie, uznawał on aneksję Austrii jako zaspokojenie słusznych i prawnych aspiracji Niemców austriackich. Problem Sudetów traktuje jako jedną z oburzających konsekwencji „niesprawiedliwego” Traktatu Wersalskiego. Pisze, że każdy Niemiec uważał sprawę Gdańska i „Korytarza” jako bolączkę, którą wcześniej czy później musi być załatwiona. Chwali się sam, że zmusił litewskiego Ministra Spraw Zagranicznych do „dobrowolnego” wyrzeczenia się Kłajpedy, naprawiając w ten sposób jedną z krzywd dyktatu wersalskiego itd.

Rzeczywiście „bronił” na swój sposób pokoju, tłumacząc Hitlerowi, iż osiągnie on swe cele bez agresji zbrojnej, drogą odpowiednich rokowań z mocarstwami zachodnimi i namawiając gorąco kolejnych ofiar do „dobrowolnych ustępstw”. Nam się jednak zdaje, że taka właśnie „pokojowość” usprawiedliwiała całkowicie skazujący go wyrok, który w swych motywach głosił: „Był nie tylko widzem, lecz współpracował pozytywnie i prowadził osobiście, przy pełnej znajomości rzeczy, dyplomatyczne pertraktacje z ofiarami agresji i z zainteresowanymi mocarstwami... Udział jego (w akcjach agresji) przyjął uchwylnie formy i stanowił nieodzowną przesłankę dla realizacji tego programu”.

Pod tym względem specjalnie cynicznie brzmi opowiadanie Weizsäckera jak po wiarolomnym złamaniu przez hitlerowców neutralności

Belgii i Holandii, przyjmował on przedstawicieli dyplomatycznych tych państw i rozkładając się nad zniszczeniami, które wojna przyniesie tym pięknym krajom, sugerował natychmiastowe przerwanie działań obronnych, aby zmniejszać cierpienia tamtejszej ludności. Najlepszym kryterium poziomu moralnego Weizsäckera jest, że w pamiętnikach swych wystąpienie to traktuje jako piękny gest ze swej strony, nie zdając sobie wcale sprawy z horrendalności takiego stawiania sprawy.

WEIZSÄCKER nie broni zresztą tylko samego siebie. Występuje jako adwokat całego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, jego personelu, a w każdym razie „starej kadry zawodowej” z czasów przedhitlerowskich. Nic dziwnego, w danym wypadku interesy ich są identyczne. Twierdzi, że to przy pomocy swych współpracowników z Centrali oraz ambasadorów i posłów niemieckich zagranicą „bronił pokoju”, sugerując znowu że imperialistami zachodnimi, której celów nie potrzebuje nam precyzować: wiemy dobrze, że chodzi tu o koalicję antyradziecką.

Dla apologii Wilhelmstrasse posługuje się zupełnie nieprzekonywającym chwytem. Powtarza często i stale: nie słuchano nas, nie liczone się z naszym zdaniem, robiono politykę zagraniczną za naszymi plecami, nie wiedzieliśmy nic o agresywnych zamiarach, o tym jaka jest polityka hitlerowców w krajach okupowanych. Z ogłoszonych po wojnie dokumentów wiemy, że na wszystkich naradach, omawiających plany agresji, brał udział przedstawiciel MSZ. Trudno jest uwierzyć, aby sprawozdania z tych konferencji nie trafiały do rąk faktycznego kierownika agend dyplomatycznych. Zresztą autor przeczy samemu sobie, bo szczerze mówiąc rozpisuje się jak napastnicze plany Hitlera i Ribbentropa napelniały go rzekomo obawą i jak dyskutował na ten temat z przyjaciółmi z szeregu t.zw. opozycji antyhitlerowskiej.

Argument udziału w tej opozycji jest głównym atutem w „spowiedzi” Weizsäckera. Pomijamy już dostatecznie znany reakcyjny charakter tej pseudo-opozycji. Gdyby nawet swój udział w niej Weizsäcker zdołał udowodnić, nie rozgrzeszałoby go to w naszych oczach, gdyż „spiskowcy” reprezentowali tylko odwrotną stronę medalu imperializmu niemieckiego. Jednakże pamiętnikarzowi nie udało się nawet przekonać nas, iż był uczestnikiem tej grupy.

Jako argument swego współdziałania podaje Weizsäcker częste kontakty z gen. Beckiem jako szefem sztabu głównego, z admirałem Canariem jako szefem wywiadu wojskowego, z Popitzem jako ministrem Finansów Prus itd. Kontakty te były logiczną konsekwencją jego funkcji służbowej, a papier jest cierpliwy i wobec spoczywania w grobie rozmówców można ex post pisać co się chce o wymianie zdań w cztery oczy. Z tekstu pamiętników nasuwa się raczej przypuszczenie, że to „opozycjoniści” szukali kontaktu z Weizsäckerem, o którym wiedzieli, że jest rasowym junkrem i monarchistą, który wolałby widzieć na czele rządu nie arywistę Hitlera, ale kogoś „ze swojej sfery”. Dlatego informowali go o niektórych posunięciach opozycji, w szczególności o staraniach nawiązania kontaktów z Anglosasami. Odpowiadało to zupełnie poglądom Weizsäckera, lecz był on zanadto ostrożny i zbyt obawiał się o swe stanowisko, aby wiazał się formal-

nie z grupą, która zamyslała dokonać „przewrotu pałacowego”.

Najlepszym zresztą dowodem tego jest fakt, że po zamachu na Hitlera, gdy wszyscy, którzy w jakikolwiek sposób związani byli ze spiskowcami, zostali bądź rozstrzelani bądź zamknięci w obozach koncentracyjnych, Weizsäcker pozostał na wolności. Nie przekonywający jest jego argument, że wówczas był już ambasadorem przy Watykanie. Rzym okupowany był wtedy przez wojska hitlerowskie i wystarczyło posłać paru żandarmów, aby go aresztować w pałacu ambasady i odstawić do Berlina. W ówczesnej sytuacji politycznej, Hitler nie bawił się w żadne pobłażliwości i gdyby tylko coś obciążało Weizsäckera nie zawahałby się go wykończyć.

Swą nominację na ambasadora przy Watykanie Weizsäcker przedstawia jako szukanie pośrednictwa, skąd mógłby dalej prowadzić — starania o pokój. Nie jest jednak w stanie przytoczyć żadnego konkretnego kroku w tym kierunku. Po prostu, po klęsce stalingradzkiej zorientował się, iż sprawa jest przegrana, to też wolał przeczekać katastrofę na spokojnym stanowisku. Dzięki temu zresztą stanął przed sądem dopiero w 1949 r.

Stale powtarzanie „nie wiedziałem”, „w niczym się nie orientowałem”, rozciąga Weizsäcker również na wszystkie zbrodnie przeciwko ludzkości, popełniane przez reżim hitlerowski. Ma tupet twierdzić, że jeszcze w 1943 r. nie wiedział o okropnościach obozów koncentracyjnych i nie orientował się w ludobójczej akcji przeciwko Żydom. Kłamstwa te zostały zdemaskowane podczas jego procesu, kiedy własny syn pamiętnikarza musiał stwierdzić, przesłuchiwany jako świadek, że rozmawiał z ojcem podczas wojny o deportacji Żydów i że Weizsäcker brał udział w negocjacjach dyplomatycznych, mających na celu zawarcie umów z krajami zawiśłymi, przewidujących wydanie w ręce gestapo wszystkich Żydów. Pomimo tego, licząc widocznie na to, że stenogramy procesów norymberskich mało kto czyta, Weizsäcker powtarza dziś w swych pamiętnikach twierdzenie, iż „o planowym niszczeniu istnień ludzkich, o okropnościach, które wyszły na jaw później, w szczególności po wojnie, nie miało się pojęcia, nie przypuszczano, dby nawet gestapo było zdolne je popełnić”.

Książka Weizsäckera służy całkowicie dzisiejszej propagandzie, uprawianej w Niemczech zachodnich przez czynniki reakcyjne.

W swych wspomnieniach Weizsäcker głosi w sposób bardziej lub mniej bezpośredni trzy tezy: 1) interes Niemiec (czytaj: imperializmu niemieckiego) wymaga ścisłego złączenia się z mocarstwami zachodnimi, 2) personel polityczny z czasów hitlerowskich nie jest odpowiedzialny za zbrodnie hitlerowskie, a więc powinien być dziś wykorzystany przez rząd boński i 3) pokój, rzecz prosta w zrozumieniu reakcjonistów, oznacza uleganie słabszym wobec mocniejszych, nieprzeciwstawianie się wasalizacji dokonywanej przez imperialistów.

Głosząc takie tezy, Weizsäcker trafił w ton propagandy uzasadniającej politykę imperialistów amerykańskich w Niemczech, zasłużył więc w oczach okupantów na darowanie mu kary. Pod osłoną właśnie takich tez szerzy się dziś w Niemczech zachodnich neohitlerizm, szowinizm i militarystyka jako ideologia rzeczników udziału w bloku atlantyckim i przeciwników pokojowego demokratycznego zjednoczenia Niemiec.

* Ernst von Weizsäcker „Erinnerungen”, München 1951. Paul List Verlag. Str. 391.

Wspomnienie o śp. Bolesławie Roślinie

Andrzej ODNOWA

NOWA SZTUKA LUTOWSKIEGO W „ATENEUM”



Bolesław Roślin w sztuce „Czarująca szewcowa” Fr. Garcia-Lorki na scenie Państwowego Teatru Polskiego w Poznaniu. fot. Maksymowicz

ZYCIE artysty posiada zawsze jakiś nieodparty urok. Często pragniemy zmniejszyć ów dystans rozdzielający artystę i odbiorcę i przypatrzeć się z bliska, choćby na chwilę, tajemnicom powstawania jego sztuki. Sztuka aktorska Bolesława Roślina, zmarłego niedawno artysty sceny poznańskiej, ułatwiała to zadanie, pozwalając na osąd bezpośredni jej formowania się i przyoblekania jej kształtów w piękne i udane kreacje sceniczne. Ilość sztuk, w których występował jest dość liczna i zakresem swym obejmuje dużą stosunkowo skalę tematyczną i rodzajową.

Pierwszym jego wystąpieniem na scenie była komiczna rola w sztuce Fredry „Nikt mnie nie zna”, grana przez amatorski zespół aktorski. Wówczas Roślin ukończył już Akademię Handlową w Lipsku i rozpoczął w Gdańsku praktykę bankową. A więc pierwsze zetknięcie Roślina ze sceną miało miejsce w Gdańsku. Od 1911 r. rozpoczyna się dopiero właściwa kariera artysty scenicznego. Przelamawszy opór rodziców, Roślin wstępuje do kierowanej przez Czystogórskiego objazdowej trupy teatralnej. Potem ciągnie się już całe pasmo premier, w których Roślin rozwijał swój talent aktorski. W r. 1915 zapoznał się z Karolem Adwentowiczem i grał często w jego teatrze. Później po występach w Teatrze Małym w Warszawie, Roślin na krótki czas przenosi się do Poznania, już w r. 1919 widzimy go na scenie bydgoskiej w „Weselu” Wyspiańskiego. Po sporadycznych występach w Łodzi, Grudziądzu, Toruniu, Roślin prowadzi przez 2 lata teatr w Warszawie, wystawiając m. in. „Dziady” Mickiewicza oraz sztuki Fredry. Od 1927 r. Roślin występuje w Lublinie, gdzie w ciągu 2 lat pracy bierze udział w 48 premierach. Od 1929 r. przebywa w Warszawie, Grudziądzu, Poznaniu i Bydgoszczy, gdzie zastaje go wybuch wojny. Do ciekawszych jego przedwojennych kreacji zaliczyć należy rolę w sztukach: „Był sobie więzień” Anonilha, „Człowiek który był czwartkiem” Chestertona, „Wieża Trzech Króli” i „Hamlet” Szekspira, „Lilla Weneda”, „Horsztyński”, „Złota Czaszka”, „Mazepa” Słowackiego oraz liczne komedie Fredry. W Grudziądzu grał rolę Blaka w sztuce Żuławskiego „Eros i Psyche”, kreował rolę Pankracego w „Nieboskiej Komedii” Krasieńskiego, grał Franciszka Moora w „Zbójcach” Schillera. Występował również w eksperymentalnym przedstawieniu „Pragmatystów” S. J. Witkiewicza. Wojna przerwała to ciągle pasmo nowych ról i stałe dojrzewanie i sublimowanie się talentu artystycznego Roślina.

Bezpośrednio po wyzwoleniu widzimy go w krakowskim Teatrze TUR-u, gdzie współpracował z dy-

rektorem Władysławem Krasnowieckim. Od jesieni 1919 r. Roślin przeniósł się do Poznania i tu „zaaklimatyzował się na stałe. Publiczność poznańska pamięta jego żywe i ciekawe wystąpienia sceniczne. Grał w sztukach Wirskiego „Cement”, Garcia-Lorki „Czarująca Szewcowa”, Kruczkowskiego „Niemcy”, Fredry „Wielki Człowiek dla Małych Interesów”, Ostrowskiego „Las”, Szekspira „Hamlet”, Leona „Zwyczajny Człowiek”, Tarna „Zwykła sprawa” i wreszcie Chojnowskiego „Ruchome piaski”.

Jego kreacje zawsze odznaczały się specyficznym wyczuciem sytuacji i konfliktów, nieprzeszarżowaniem. Ważną zaletą jego aktorstwa było także to, że Roślin nigdy nie dopowiadał, nigdy nie stawiał kropek nad i. Wyobraźnia widza miała tu duże pole do popisu. Gra Roślina pobudzała do świadomego i mądrego aneceptowania jego sztuki, do ciągłego interesowania się coraz to nowymi sukcesami tego wysokiej klasy aktora.

Zenon M. Łukasiewicz

FILM

Niezapomniany rok 1919

Niezapomniany rok 1919. Scenariusz: W. Wiszniewski M. Cziaureli, A. Filimonow. Reżyseria: M. Cziaureli, Zdjęcia: L. Kosmatow, W. Nikolajew, Muzyka D. Szostakowicz. Produkcja: „Mosfilm” — 1952 r.

OBRAZY wielkiego widowiska teatralnego Wsiewołoda Wiszniewskiego Niezapomniany rok 1919, pokazujące historyczne wypadki 1919 r. w rewolucyjnym Piotrogradzie, są sceniczną syntezą wydarzeń i konfliktów tego decydującego okresu rewolucji. Każda scena ma wielką siłę polemiczną, stanowi fragment historycznej syntezy, ma swoje miejsce w całości sztuki.

Film Niezapomniany rok 1919 jest próbą zastosowania stylu wypracowanego przez radzieckich filmowców w wielkich epopeach dokumentalno-fabularnych takich jak Upadek Berlina lub Bitwa Stalingradzka do ekranizacji teatralnej epopei Wiszniewskiego. Scenarzyści w zasadzie zachowali budowę dramatyczną tekstu scenicznego, rozszerzyli jednak jego ramy historyczne i czasowe, dodając szeroko rozpracowaną ekspozycję i łącząc lapidarne obrazy sztuki Wiszniewskiego rozbudowa-

IEDY po pierwszym akcie „Sprawy rodzinnej” Jerzego Lutowskiego zaszuwa się kurtyna w Teatrze „Ateneum”, uświadamiamy sobie, nie bez podziwu, jego doskonałą konstrukcję dramatyczną i jej przejrzyste podanie. Równocześnie z pewnym niepokojem dostrzegamy tkwiące w akcji możliwości uproszczeń. Występujące konflikty: syn — ojciec; pomysł młodego podważający niezastąpioną pozycję starego majstra; praca i szczęście domowe — znamy ze „Stoczni” Rybarskiego, „Awansu” Żółkiewskiej, „Człowieka i maszyn” Lubeckiego, „Brygady zliżierza Karhana” Kanł, lecz widzimy je tu od innej strony. Dość powiedzieć, że ani jeden z trzech aktów nie rozgrywa się w zakładzie produkcyjnym, lecz wszystkie w jednym rodzinnym mieszkaniu. Nie znaczy to, że sprawy pracy zawodowej nie oddziaływują na tok akcji, wprost przeciwnie, lecz oddziaływują one na nią w jej determinantach — najistotniejszych dla dzieła sztuki, w aspekcie moralnym, humanistycznym, w aspekcie wartości duchowych.

Lutowski, który od „Próby sił” przez „Wzgórze 35” odbył uderzającą ewolucję w zakresie warsztatu dramatycznego, osiada w „Sprawie rodzinnej” niezwykłą kondensację dramatyczną. Wszystkie postacie jednej rodziny są tu wzajemnie ustawione wobec siebie w starciu, w konfliktach — jak widzieliśmy — bardzo ludzkich i bardzo istotnych zarazem, których przewyższenie bogactw ich życia o nową prawdę Stosinek do pomysłu racjonalizatorskiego młodego Kamińskiego staje się probierzem wartości jego samego i jego otoczenia: brata, który o mało co nie wykoleja się i nie odaje przysługi obcemu wywiadowi; starego ojca, który musi przewyciężyć własną zazdrość i konserwatyzm żony, która w nowy, wyższy sposób pojmie sprawę szczęścia rodzinnego.

Autor, który zdołał dość szczęśliwie wymanewrować z toku akcji cenną postać szpiega, nie dając zapomnieć o jego istnieniu, nie

kończy łatwym happy-endem. Pozwala widzowi zrozumieć, że błędów ludzkich nie należy przemilczać, że za błędy się płaci, lecz zrozumieć również, że dramat wewnętrzny każdego człowieka błędzącego, który boryka się z błędem — zasługuje na współczującą uwagę. „Co ty wiesz?”, „Człowieka rozumiesz?” — te pytania ojca ze starego pokolenia, zwrócone do syna-odkrywcę, uprzytomniają siłę wewnętrznych oporów i trudności oraz cenę ich przewyższenia. Od zagadnienia produkcyjnego, ukazanego od strony ludzkiej inteligencji, zwraca się Lutowski ku problemom psychologicznym z nim związanym, ku sprawom człowieka i jego postawy etycznej. I obrazuje je w widowisku o klasycznie zwartej akcji, ograniczonej do doby i umiejscowionej w przestrzeni jednego pokoju.

„Sprawa rodzinna” jest poważnym osiągnięciem młodego autora, po którym mamy prawo wiele się

czaj wyrównane, o dobrym tempie, dobrze wypunktowanych zwrotach akcji i zakończeniach poszczególnych aktów. Ogólną cechą ajęcia aktorskiego jest pewna dobitność, niemal ceklamiacyjność w podawaniu kwestii — aktorzy bardziej wypowiadają myśl tekstu, aniżeli grają rolę rzeczywistych ludzi. Pewne ograniczenie gry dramatycznej dzwiło, choć przyznać trzeba, że przy już i tak niemal aż do sensacyjności posuniętym napięciu akcji pozwalało skupić uwagę na ważkiej treści ideowej sztuki.

Przy powyższym zastrzeżeniu ogólnym zespół „Ateneum” zaprezentował się w sztuce Lutowskiego korzystnie. Rolę młodego małżonków Kamińskich odtworzyli pewnie, z umiarem artystycznym, niekiedy bardzo sugestywnie Aleksandra Ślaska i Witold Kałuski. Ślaska była uroczą młodą żoną i miała szczególnie dobre momenty na początku II aktu, w scenie kobiecego triumfu nad doprowa-



Państwowy Teatr „Ateneum” w W-wie. „Sprawa rodzinna” J. Lutowskiego. Na zdjęciu Wł. Skoczylas i W. Kałuski jako bracia Kamińscy fot. C.O.P.A.

spodziewać. Jest też dużym osiągnięciem młodego Teatru „Ateneum”. Nowy kierownik artystyczny Teatru, Janusz Warmiński, daje nam drugie po swym „Zwyczajnie” przedstawienie nadzwyczaj-

dzonym do zazdrości młodym mężem. Kałuski uniknął przesady w ujęciu optymistycznych cech bohatera pozytywnego, szczęśliwie zrównoważył w odtwarzanej przez siebie postaci moment spóeczny z osobistym i rodzinnym. Po roli Skapena i Gdańskiego w „Ożenić się nie mogę” nowa ta nietatwa rola świadczy o rozwoju talentu i możliwościach tego aktora. Dalsze dobre role stworzył Mirosława Duhrowska, która jako kreślarka Gąsowska umiejętnie zasugerowała wrażenie wyjaśnionej później dwuznaczności; Władysław Staszewski, nieco jednostajny w b. trudnej roli starego Kamińskiego; Włodzimierz Skoczylas, świetny w mimice, ruchu, geście w partiach studenta-bumełanta słabszy w chwilach załamania. Węcej trudności mieli ze swymi zadaniami Mieczysław Górkiwicz w niewdzięcznej, ale niebanalnie odtworzonej roli złotego młodzieńca na obcych usługach oraz Gustawa Błońska w roli nieco monotonicznie chmurnej starej Kamińskiej.

Scenografia Władysława Buśkiewicza nieźle wyrażała brzydsze gusta zaprezentowanego przez autora środowiska rodzinnego.

atralnej, środkami wyrazowymi filmu.

Przeprowadzono to w filmie bardzo konsekwentnie. Stworzono precyzyjnie zrekonstruowany obraz opisywanego fragmentu rewolucji, wyposażono film w wagę dokumentu historycznego, zmieniając tym samym charakter sztuki Wiszniewskiego. Widowisko teatralne jest pełną pasją polemiczną, bezpośrednią, artystyczną relacją z wydarzeniami. Syntetycznie, żwawo, lapidarnymi sytuacjami i surowo szkicowanymi postaciami wyraża prawdę o procesach historycznych i o ludziach biorących w nich udział. Zwięzłość rysunku postaci jest proporcjonalna do zwięzłego uogólnienia sytuacji.

Realizatorzy filmu z tej zwięzłości i lapidarności zrezygnowali. Ale zrezygnowali jakby jednostronnie, rozpracowując zawarty w sztuce materiał sytuacyjny, nie pogłębiając proporcjonalnie rysunku postaci ludzkich. Dlatego właśnie film robi wrażenie wielkiego, starannie zrekonstruowanego opowiadania o faktach, świetnego układu o ważnym fragmencie rewolucji, nie ma zaś tak jak sztuka Wiszniewskiego, tej bezpośredniej siły gorącego, artystycznego uogólnienia

Leszcz

N	Ks. Prof. EUGENIUSZ N	N
	DĄBROWSKI	
O	LISTY	O
	Św. PAWŁA	
W	APOSTOŁA	W
	Wstęp. nowy przykład	
O	z Wulgaty, komentarz	O
	Cena zł. 16.—	
S	Wysła Instytut Wyd.	S
	„PAX” Warszawa, Moko-	
	towska, 43. za zamówieniem	
	lub do wpłaty na konto	
C	PKO I-8515	C

Zbigniew KUTHAN

DWIE KSIĄŻKI ADAMA SCHARRERA

„Urodziłem się 13 lipca 1889 r., jako najstarszy syn pasterza gminnego, Johanna Scharrera, we wsi Speikern k/Norymbergi. Siedem lat wiejskiej szkoły, trzy lata nauki u ślusarza, wędrówka od jednej fabryki do drugiej w Niemczech i krajach sąsiednich, wreszcie dwie wojny światowe ze wszystkim co niósł, ze sobą — oto przeżycia, które wywarły na mnie silny wpływ. Wyższą szkołą był dla mnie ruch robotniczy, a siłą do życia dodawała mi wielka idea socjalizmu”.

Te słowa pisarza o sobie samym traktować można jako najbardziej wzięte streszczenie jego autobiografii, wydanej w przekładzie polskim pt. „Syn pasterza” (tyt. oryg. — *In jungen Jahren*). Książka ta posiada pewną cechę, o której chce wspomnieć na początku jej omówienia, bo cecha ta wyznacza wartość utworu. Jest nią rzadka prostota, szczerść i czystość traktowania przedmiotu, jakie spotyka się w literaturze tylko u klasyków realizmu, a w życiu — albo w opowiadaniu dziecka, albo u człowieka niezwykłe uczciwego.

Dwadzieścia opisanych przez Scharrera pierwszych lat życia pisarza przepełnione jest ogromnym trudem, biedą i poniżeniami; w opisie ich — powściągliwa dokładność pamiętnikarza łączy się z obiektywizmem naukowca, który nawet własne swe losy traktuje nie jak jedne w swym rodzaju zdarzenia, lecz jako dokument pełnej rzeczywistości społecznej. Scharrer snuje więc opowieść o swych dziejach na podobieństwo lekarza prowadzącego dziennik własnej choroby, którego odcyfrowanie przyniesie ludziom pożytek. I właśnie ta wiara w ogólnoludzkie braterstwo i współzależność losów oraz przeświadczenie o społecznym posłannictwie pisarza — zapewniają książce ową szczególną atmosferę.

Rodzice Scharrera należeli do biedoty wiejskiej; pasterz nie posiadał własnej ziemi i przysługiwało mu tylko użytkowanie kilku mierznych skrawków pola wydzielonych przez gminę,

oraz pogłówne w wysokości jednej marki od każdej sztuki bydła przy której urodzeniu pomagał. Ale i tego nędznego zarobku bogaci gospodarze starali się go o ile możliwości pozbawić. Aby zapewnić licznej rodzinie najędźniejsze choćby wyżywienie, pasterz pracuje dodatkowo w kamieniołomie, dzieci zaś pomagać muszą rodzicom od lat najmłodszych. Po ukończeniu pięciu lat, Adam ma stały obowiązek dozorować gęsi gminnych. Gdy poczyna chodzić do szkoły, na czas lekcji zastępuje go matka. Uczy się chętnie, lecz szkoła jest dla dziecka torturą z powodu nauczyciela, złośliwego i brutalnego okrutnika. Życie wiecznie zapracowanego, głodnego i poniewieranego dziecka staje się w pewnych momentach tak ciężkie, że śmierć wyobraża ono sobie jako coś najbardziej pożądanego. Toteż gdy uratowany z powodzi chłopiec leży w szpitalu, lekarz trafnie ocenia jego stan psychiczny: „W ostatecznym wypadku rozstrzyga czasem chęć do życia, ale niestety tutaj pod tym względem jest kiepsko”. (str. 48)

Wystarczy wspomnieć, że jedną radością lat dzieciennych była dlań para głębi kupionych mu przez ojca za 70 fenigów. Rozrzutność ta powoduje zresztą długotrwałe niesnaski między rodzicami. Rodziców swych ocenia pisarz w sposób następujący:

„Wyczuwało się w nich zawsze, że trzymają język za zębami, namyślają się nad każdym słowem i stosują do poglądów bogatych chłopów; nie było natomiast żadnej szczerości ani cywilnej odwagi”. (str. 146)

„Matka... była zdania, że każdy człowiek powinien stosować się do swych możliwości i jeżeli nie ma mięsa do chleba, to powinien jeść suchy chleb. A jeśli nie starczy suchego chleba to może zjeść kartofle z solą. Gdyby zaś zabrakło i tego miedziaka na sól, to zjeść po prostu kartofle bez soli”. (str. 67)

Po ukończeniu praktyki ślusarskiej Scharrer rusza na wędrówkę, której celem jest nie doskonalenie się w za-

wodzie, lecz konieczność znalezienia jakiegokolwiek pracy. Uczucie goryczy i beznadziejności towarzyszy opuszczeniu rodzinnych stron, choć fakt ten opisuje autor w zwiezłych i opanowanych słowach: — „Byłem obcy i sam, i strasznie głodny w tym pięknym mieście Norymberdze, stolicy Frankonii, mojej ziemi ojczystej. Jako jedyna nadzieja pozostawał mi trakt prowadzący w świat”.

Ta męska równowaga w oddaniu najboleśniejszych choćby wspomnień szczególnie cechuje Scharrera. Przypomina on człowieka, który pochłonięty jakimś wielkim celem nie ma czasu na rozpamiętywanie takich drobniostek jak własna krzywda.

Mimo swej upartej konsekwencji książka nie ma w sobie nic z suchego diariusza. Sprawa to jej autentyzm, wnikliwość psychologiczna oraz specyficzny zmysł humoru autora. Doskonale jest np. moment, gdy Scharrer aresztowany pod zarzutem dokonania morderstwa, tak opisuje chwilę wyjaśnienia sytuacji:

„... z twarzy sędziego śledczego wyczytałem, jak bardzo żałował, że to nie ja okazałem się owym bandytą. Przyjemniej byłoby mi siedzieć naprzeciw mordercy, niż naprzeciw uczciwego człowieka”.

W stałe z konieczności odnawianej wędrówce za pracą przebiega Scharrer całe Niemcy i Szwajcarię; okresową możliwość zarobkowania znajduje w Berlinie, Szczecinie, Dortmundzie i Bremie, gdzie bierze udział w wielu strajkach robotników stoczniowych. Są to ostatnie lata poprzedzające pierwszą wojnę światową, i pisarz jest już wtedy czynnym działaczem socjalistycznym.

Końcówce karty książki przedstawiają odwiedziny pisarza w nieogrodzonym od dawnego domu rodzinnym. Analogie z powrotem Szczecnego z „Pamiętki z celulozy” Neverly'ego same tu się nawiązują. Oto co autor mówi do swego ojca, a słowa te są kulminacyjnym momentem opowieści:

„Wy zawsze robiliście w swoim życiu to, co wam kazano. Głodowaliście i nie pytaście się, dlaczego właściwie muszą głodować ci, którzy pracują...”

„Wście chcieli mnie zmusić do takiego samego sposobu myślenia jak was... ale... ja poszedłem swoją własną drogą... Mam daleką drogę poza sobą, ale dzięki temu osiągnęłem cel i mogłem całować powrotną drogę do was”.

DRUGĄ z wydanych po polsku książek Adama Scharrera są „Opowiadania wiejskie”, przekazanym obraz życia niemieckiej wsi pod rządami Hitlera. W kilku nowelach i cyklu gawęd pisarz zaprezentował naczelną cechę polityki narodowego socjalizmu na wsi oraz sposób w jaki ludność odnosi się do faszystwu.

Trzeba tu wspomnieć, a wśród wielu wad wydania „Opowiadania wiejskie” jedną z zasadniczych — jest brak komentarzy, iż zwrotnym momentem w stroju wsi niemieckiej miało się stać wprowadzenie ustawy z 29/IX/1933 tzw. „gospodarstw dziedzicznych”. (Reicherhofgesetz) Zagadnienia będące następstwem ukonstytuowania się tych osobliwych tworów przewijają się przez liczne stronicie książki. Chodziło mianowicie o to, że mocą wspomnianego zarządzenia kilkaset tysięcy gospodarstw chłopskich przekształcono w rodzaj miniatury ordynacji. Gospodarstwa odpowiadające warunkom ustawy dziedziczyć miał jedynie najstarszy syn, w razie zaś jego braku następstwem dziedziczenia było ściśle sprecyzowane odpowiednimi przepisami. Posiadłość taka była niepodzielna, nie podlegała również egzekucjom skarbowym, ale właściciel nie miał prawa sprzedażi zarówno gruntu jak inwentarza. Sama własność była tu zresztą problematyczna, gdyż specjalne władze miały prawo zawiesić dotychczasowego posiadacza w jego prawach i mianować na jego miejsce kogo innego.

Celem zarządzenia miała być ochrona gospodarstw przed karłowaceniem w następstwie działań majątkowych, oraz „ochrona chłopstwa jako źródła krwi narodu”. Przekładając to na język praktyczny, chodziło o wzmoczenie na wsi elementu kapitalistycznego, który w miarę swego rozrastania się wchłaniał wszystkie drobne własności. Owi mali feudałowie byli jedynymi obok obszarników posiadaczami ziemi, i naturalnym sojusznikiem reżimu przeciw biedocie wiejskiej i robotnikom rolnym. Osadnictwo niemieckie w Polsce czasu ostatniej wojny (wspomina o tym również Scharrer) wykazuje, że w rzeczywistości kierunek „kolonizacji” wyznaczały zaborce wojny Hitlera.

Ustawa o gospodarstwach dziedzicznych faworyzowała jednostki kosztym ogółu i stanowiła pole do nadyżyc i rozgrywek osobistych. Opozycja chłopska, rekrutująca się przeważnie z drobnych właścicieli oraz robotników rolnych została stłumiona aktami terroru,

provokacji i naginania prawa. Główną rolę odgrywa tu SA, w którego władzach zasiadają przeważnie nowi panowie „dziedzicznych gospodarstw”. Scharrer przedstawia próby organizowania jakiegoś jednolitego frontu opozycji, które jednak nie znajdują powodzenia. Przyczyna tkwi w bierności społeczeństwa, podminowanego donosi cielstwem i niewolniczą karnością. Oto jak bohaterowie książki patrzą na swój własny naród:

„...myślimy wszyscy wyhodowali w sobie krucielstwo, a teraz szaleje ono przeciwko nam samym...”

Wybuch wojny objawia się wsi kolejnymi powołaniami do szeregów oraz wzrastającymi obciążeniami materialnymi. Od obu powinności — krwi i majątku, mają szanse wykreślenia się tylko hitlerowcy.

Manometrem nastrojów ludności jest stary listonosz, który swe wrażenia i obserwacje opowiada w gawędach stanowiących drugą część książki. Przedstawiają one jak lata wojny stają się etapami ruiny rodzin chłopskich, każdy zaś nowy podbój równoznaczny jest z nową liczbą kalek, zabitych i rekwizycji inwentarza dokonywanych przez Urząd Wyzwolenia. Ponury obraz byłego żołnierza wlokącego się o kulę z piętami zamyka jedno z opowiadań. „Nagłówki pisane literami jak pięść doniosły o naszych zwycięstwach — powiada stary listonosz Zwinklerer, — a często mi się już zdarzało, że w takich dniach moja poczta była jakby rachunkiem że to nasze zwycięstwa”.

Na osobne omówienie zasługuje nowela „O człowieku, który szuka ratunku w milczeniu”. Przyczyna formalna tego tkwiłaby w fackie, iż nie jest ona opowiadaniem „wielkim”, a następnie zaś — wyróżnia się w niej jasny imperatyw moralny, w innych częściach książki może mniej wyraźny. Pisarz przedstawił w noweli dwu żołnierzy frontu wschodniego, z których jeden, świadomy nonsensu i hańby prowadzonej przez Hitlera wojny swój obowiązek ludzki widzi w przejściu na stronę rosyjską. Jego towarzysz, nazbyt sterroryzowany systemem, w którym się wychował, nie umie się zdobyć na podobną decyzję; świadomość jego nie potrafi przekroczyć kręgu formuł specjalnie stworzonych, by właśnie rzadzić takimi jak on. Nie wykorzystuje więc nieczki swego odziania, który pozostał dla samego między liniami obu wojsk, lecz wraca do cofającej się jedności. I tu po pewnym czasie zostaje „zlikwidowany” przez SS-manów jako niepewny politycznie.

Ten dramat ogłupionego człowieka przypomina atmosferę powieści Falla-

dy „Každy umiera w samotności”. Ilustruje podobnie jak ona pewnik, iż niema stanowisk pośrednich, że ucieczka w milczenie nie jest ratunkiem lecz samobójstwem. I przedstawiony w noweli los jednostki symbolizuje ostatnie dzieje narodu niemieckiego, którego tragedią stało się to, że nie potrafił „ująć sprawy pokoiu we własne ręce”.

Jest w noweli fragment zupełnie bliźniaczy do sytuacji z książki Fallady: gdy brutalnie potraktowany przez swego podoficera żołnierz uchyla się od awantury rzuceniem zdania — że właśnie jego matka zginęła od angielskich bomb lotniczych. Trudno o bardziej dobitny przykład roli do jakiej pozwoliło się sprowadzić społeczeństwo niemieckie, — że nawet śmierć najbliższych miała tylko wartość rekwiwytu lojalności wobec regimie'u.

„Opowiadania wiejskie” zostały wydane nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej. Przekład książki nie jest niestety dobry, a nieporadności stylistycznej towarzyszą pospolite błędy językowe.

Miejskami tekst staje się kompletnie niezrozumiały; niewiadomo czy „askutek niepoprawionej korekty omyłki drukarskiej, czy z winy tłumacza lub adiuslatora. Pracy tego ostatniego nie można zresztą w książce dostrzec. Trudno dociec, co np. mają znaczyć zdania w rodzaju: „Powstała wielka luka, której nie da się wykryć tak jak grób”. (str. 36)

Takich niechlujnych łamigłówek książka zawiera więcej. Zachwaszczają ją również jakieś dziwaczne, drukowane w cudzoziemskiej lecz nieobciążone wyrazy jak np. „kalaputryna” (str. 125), czy „szlawak” (str. 23) oraz nieporadności w rodzaju „hillerowszczyzny” (co tłumacz utworzył sobie prawdopodobnie na wzór włoszczyzny lub piłsudzczyzny) czy „oszukaństwa”.

W ten sposób wydane „Opowiadania wiejskie” przynoszą czytelnikowi jedynie zwulgaryzowaną „treść” dzieła, z zaciemnieniami w rodzaju wyżej cytowanych. Ten zły poziom tłumaczenia uderza szczególnie w zestawieniu obu książek Scharrera, ponieważ „Syn pasterza” został najzupełniej poprawnie przetłumaczony przez Jadwigę Kalkhoff. Jaka szkoda, że mimo starań PEN-klubu kwalifikacje tłumaczy ciągle były mało starannie są badane.

* Adam Scharrer — Syn pasterza — „Czytelnik”, XI/1951, str. 319, cena zł. 11,20 przeł. z niem. Jadwigę Kalkhoff, redaktor — Barbara Płackowska tyt. oryg. „In jungen Jahren”.

* Adam Scharrer — Opowiadania wiejskie — „Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza”, Warszawa 1951 str. 227 przeł. z niem. Marian Stabicki, redaktor — Teodor Gozdziakiewicz tyt. oryg. „Dorfgeschichten”.

A RETINO

(Dokończenie ze str. 5)

łańcuch, gdzie IIIe herbowe przepłatają się z symbolicznymi złotymi językami i dewizą: *Lingua ejus loquatur mendacium*. Czekal na niego prawie trzy lata, a terminem mendacium nie był dotknięty.

Na dworze słynnego kondotiera przebywa dwa lata, aż do roku 1526. Oba diabły są nierozłącznymi towarzyszami, Aretino bierze czynny udział w zyskowych utarczkach, a epoka obozowa kończy się śmiercią przyjaciela. Medici, trafiony śmiertelnie w bitwie z niemiecką bandą, kona w jego ramionach. Pismo Aretina, opisujące to zdarzenie (list do Francesco d'Albizzi), dobrze charakteryzuje twardą naturę tamtych ludzi Renesansu: *Przyšli lekarze ze swymi instrumentami, wezwano dziesięciu ludzi do trzymania rannego podczas operacji. Odesłał ich i sam trzymał świecznik, kiedy mu amputowano nogę. Kazał ją sobie pokazać, oglądał dokładnie i rzekł: no teraz już będę zdrowy. Po paru godzinach osłabił i przywołał spowiednika: mój ojciec, moją sprawą była walka, a żyłbym jak mnich, gdybym nosił twój habit. Nad ranem polecił czytać sobie na głos i umarł słuchając.*

TAK się zakończył związek ostatniego rycerza — awanturnika z pierwszym awanturczym literatem, pisze jeden z jego współczesnych biografów, M. C. Antoniadę. Śmierć Jana Medyceusza mogła być klęską dla Aretina. Obawiano się wprawdzie jego złośliwego języka, ale i on miał wtedy pewne powody do obaw. W odnalezionym niedawno liście markiza mantuańskiego do papieża, markiz zapewnia adresata, że nigdy by tego „bydlęcia” nie przyjął do swego dworu i w dopisku proponuje dyskretne sprzątnięcie go „po cichu”.

A jednocześnie delektuje się jego piśmami i nagradza setkami dukatów. Sprytny Aretynczyk umiał jednak urządzić sobie spokojne życie. Dozedeł do wniosku, że Wenecja będzie

najlepszym dla niego schronieniem. Tam sprawiedliwość trzyma w równowadze swoje miary, nie rządzi tam żaden satrapa, władny mordować biednych ludzi. Udam się do Wenecji i wzbogacę moją ręką jej swobodą... Przybył i ulokował swą „nędzę” w obszernym pałacu na Canale Grande, Kolo Rialto. Z jego balkonów zwieszały się purpurowe zasłony, wspaniałe marmurowe schody wiodły od salonów, zdobnych we wschodnie makaty, rzeźby i obrazy, wzorzyste dywany kryły mozaikowe posadzki, szuflady hebanowych biurko pełne były listów od książąt, kardynałów i znakomitych pań. Przyjeżdżają do niego tłumy cudzoziemców: Hiszpanie, Francuzi, Turcy, Hindusi.

Ten awanturnik i sprośny wierszopis był gościnnie i szczerzy, a uczynność jego była głośna w Wenecji. Nigdy nie odmówił pomocy podróżnym, czy młodym ludziom, uwikłanym w tarapaty; biednym chorym posyłał pieniądze i lekarzy. W wolnych chwilach kształcił się i czytywał swego ukochanego i wielbionego Ariosta. Pisywał i psalmy pokutne i żywoty poetyckie św. Katarzyny i Tomasa z Akwinu i dysertacje teologiczne.

Pejzaż odczuwał jak nłkt chyba z jemu współczesnych. W jednym ze swych listów do Tycjana pisał: *Niebo w swym układzie światel i cieni nigdy chyba nie było piękniejszego, jak tego wieczoru. Pałace, zbudowane z marmurów, zdają się być niematerialne, są samą barwą; obłoki bliższe słońcu, są złotem i purpurą, dalsze zamieniają się dyskretnie; zieleni płonie soczystą barwą... O Tycjanie, czemu ciebie tutaj nie ma.*

A umarł, jak na Aretina przystało. W 1536, słuchając opowiadania o do-wcipnych figlach jednej ze swych fa-worytek, tak się zaśmiewał, że go a-popleksja tknęła, pękł ze śmiechu.

Konrad Czarnocki

Przeciw pewnej mentalności

(Dokończenie ze str. 4)

domością, wykuwają się zręby nowego świata. Ludzie, którzy dobrowolnie skazują się na wyłączenie z tego koniecznego procesu historycznego, z natury rzeczy w tym świecie nie zdołają dla siebie znaleźć miejsca. Ludzie nie angażujący się nawet psychicznie w walkę o nowy świat, podczas gdy większość tego społeczeństwa w tej walce uczestniczy — muszą się na dłuższą metę całkowicie wyobcować z tego społeczeństwa. Ci „ludzie bez ziemi” nie potrafią znaleźć wspólnego języka ze swoim własnym społeczeństwem. A do tego prowadził przedką i niezawodną drogą zamykanie się pewnej liczby młodych katolików polskich w wąskim światku indywidualnych trosk i kłopotów, związanych ze zdobywaniem sobie własnej pozycji życiowej.

Trzeba, aby katolicy byli wśród ludzi, aby wspólnie z całym narodem ten nowy ustrój społeczny budowali, skoro realizuje on pozytywne te zadania, za które wziął on na siebie odpowiedzialność. Są to zadania stworzenia nowego ładu społecznego, opartego o uspołecznienie środków produkcji, rzeczywiście sprawiedliwy podział dochodu społecznego i zasadę szerokiego awansu społecznego dla każdego obywatela.

Także kształtowanie doskonalszego profilu etycznego człowieka społecznego pozostaje w ścisłym związku z przebudową ekonomiczną i społeczną. I otóż autentyczna katolickość postawy życiowej każdego z nas, chrześcijan, nie polega na zewnętrznym obnoszeniu się z naszą pryzną leżnością do Kościoła. Daleko istotniejsze jest to, abyśmy nasz katolicyzm umieli przejawić w sposób wewnętrzny, immanentny. Katolik przecież to nie ten, kto ostantacyjnie chodzi do kościoła, ale to ten

przede wszystkim, o kim można powiedzieć: oto vir bonus. Pracować tedy w społeczeństwie musimy przede wszystkim po katolicku, to znaczy uczciwie i rzetelnie, tak aby styl naszej pracy, aby jej wartość mogły być zarachowane na poczet naszej przynależności do Kościoła. Bowiem katolicyzm to przede wszystkim kim wewnętrzny zaczyn, ferment duchowy. Tak tedy go pojmujemy.

POSTAWA ODPOWIEDZIALNOŚCI

U ONKLUZJA ostateczną, jaką chciałbym zamknąć moje wywody jest postulat zajmowania w życiu codziennym postawy odpowiedzialności za losy kraju, w którym żyjemy. Błędem kardynalnym jest takie stawianie sprawy, jakoby za nasz kraj, za jego przyszłość byli odpowiedzialni tylko marksiści. Przyszłość narodu jest celem wspólnym i nadrzędnym dla wszystkich Polaków, i tych, co chodzą do kościoła, jak i tych, co tego nie czynią z przyczyni wyznawania odmiennego światopoglądu filozoficznego. A poczucie tej odpowiedzialności przejawiamy wówczas, gdy nie ma rozdźwięku między tym, co mówimy na oficjalnym zebraniu, a tym co zdradzamy jedynie naszym prywatnym znajomym. Bowiem przeświadczenie o ponoszeniu współodpowiedzialności za losy narodu winno nam towarzyszyć nie tylko wtedy, gdy zabieramy głos na jakimś publicznym zgromadzeniu ale i wtedy gdy rozmawiamy w gronie swych najbliższych kolegów i znajomych, w sposób pozornie zupełnie niezobowiązując. Jeśli prawdą jest, że najważniejszą rzeczą w porządku przyrodzonym jest człowiek, to wtedy jedną myśl i postępowania staje się niesłychanie zobowiązującą dyrektywą życiową na codzień.

Ignacy Rutkiewicz

Kilka słów o:

Plastyce

NAGRODZENI PLASTYCY

Komisja Nagród III Ogólnopolskiej Wystawy Plastyki nie łatwe miała zadanie: wybrać spośród 650 obrazów, rzeźb, grafik, dzieł najlepszych, do problem w istocie trudny. Ostateczna punktacja, proszę wybaczyć użycie tego sportowego terminu przed stawia się tak: pierwsze na-



Tadeusz Brayer--Autoportret.

grody — rzeźba: Horno-Popławskiego „Matka Belojanni sa”; malarstwo: Juliusza Studnickiego „Gogol”; grafika: Waleriana Borowczyka — karykatury polityczne. Drugie nagrody przyznano: Eugeniuszowi Eibischowi, Juliuszowi Kra-

jewskiemu, Januszowi Łomnickiemu i Zbigniewowi Pronaszce — w dziale malarstwa, Ksawerowi Dunikowskiemu — w dziale rzeźby, Halińce Chrostowskiej-Piotrowiczowej i Tomaszowi Glebowi — w dziale grafiki. Ponadto przyznano pierwszą nagrodę honorową Tadeuszowi Breyerowi — niedawno zmarłemu rzeźbiarzowi. 16 trzecich nagród i 34 wyróżnienia dopełniły dzieła pracownic komisji.

NOWE GOŁĘBIE PICASSA

Wielki malarz francuski Pablo Picasso, który z okazji Kongresu Pokoju w 1949 i w 1950 r. namalował znane już milionom ludzi na całym świecie dwa gołębie, obecnie stworzył inny projekt symbolu pokoju. Nowy gołąb Picassa wzbija się w powietrze z rozwiniętymi skrzydłami.

Projekt ten został zadedykowany zmarłemu niedawno francuskiemu poecie Paul Eluardowi.

Ostatnio z okazji Kongresu Narodów w Obronie Pokoju w Wiedniu Picasso namalował wzruszający obraz dziecka z gołąbkami.

PRZYKŁAD COURBET'A

Pod tym tytułem ukazała się książka poświęcona postaci największego francuskiego malarza-realisty połowy ubiegłego wieku. Autorem jej jest znany poeta, powieściopisarz i publicysta Aragon. W tekście znajdują się interesujące dokumenty z r. 1871. rzucają-

ce nowe światło na stosunek Coubert'a do zagadnień społecznych i politycznych. Nadto 104 rysunki, podobizny, — często po raz pierwszy reprodukowane.

MARCOUSSIS

Aby uratować od zapomnienia ciekawe postacie sztuki współczesnej, francuskie galerie urządzają często wystawy retrospektywne. Ostatnio poświęcono sale galerii „Art Vivant” — interesującemu do robkowi Marcoussisa (z czołowych malarzy paryskiej awangardy artystycznej). W „Les lettres françaises” znajdują się interesujące wspomnienia o tym malarzu, jednego z krytyków artystycznych, z których to wspomnień dowiadujemy się między innymi, że prawdziwe nazwisko malarza brzmiało Ludwik Markus, pochodził z Polski, a nazwisko artystyczne Marcoussis nadał mu świetny poeta Apollinaire.

WYSTAWA PLASTYKI RADZIECKIEJ W MOSKWIE

Ostatnio otwarto w salach Akademii Sztuk w ZSRR w Moskwie wystawę plastyki radzieckiej. Wśród blisko 900 obrazów zwraca uwagę olbrzymie płótno „W przededniu Manifestacji Batumskiej w roku 1902” oraz portret Mao Tse-tunga wykonany przez artystę malarza D. Nabadiana. Kilka sal zajmują akwarele Gerasimowa i prace Kukrynikows. Bogato reprezentowany jest dział rzeźby.

Filmie

„REWIZOR” NA EKRANIE

NA ekrany Moskwy wszedł nowy kolorowy film oparty na komedii Gogola wyprodukowany w wytwórni Mosfilm. Reżyserem tej ciekawej adaptacji jest W. Pietrow. Realizatorzy pokazali w tym filmie nie tylko nieśmiertelnych bohaterów gogolowskich, ale także odtworzyli za pomocą miasteczko prowincjonalne, typowe dla Rosji z czasów Gogola. W filmie tym w rolę Gogola wcielił się aktor J. Tołubiew, Chlestakowa — I. Gorbaczew.

FILM TRÓJWYMIAROWY

W Laboratorium Filmu Trójwymiarowego w Moskwie przy Instytucie Naukowo-Badawczym zrealizowano barwny film trójwymiarowy. Treścią jego jest opowiadanie Gogola „Noc Majowa”.

POLSKIE FILMY WE WŁOSZECH

Publiczność włoska żywo interesuje się kinematografią polską. Dowodem najlepszym powodzenia filmów polskich jest fakt, że ostatnio jedna z firm agencyjnych wydała specjalną broszurę poświęconą filmom polskim wyprodukowanym po wojnie. Postępowały to godnie włoski „Noi donne” za pomocą bogato ilustrowanego „straszczonka” filmu „Młodość Chopina”, a na ekranach włoskich wielkim powodzeniem cieszy się film Wandy Jakubowskiej „Ostatni Etap”.

POLAK — PREZESEM MIĘDZYNAROD. FEDERACJI ARCH. FILMOWYCH

W Amsterdamie odbył się ostatnio VII Kongres Międzynarodowej Federacji Archiwów Filmowych. W Kongresie wzięli udział przedstawiciele 17 krajowych kinoteek i muzeów filmowych z całego świata. Prezesem Federacji wybrany został po raz czwarty Jerzy Topolitz reprezentujący Polskie Centralne Archiwum Filmowe.

teatrze

OTWARCIE TEATRU SATYRYKÓW W KRAKOWIE

W Krakowie powstał nowy teatr zorganizowany przez „Artos” — „Teatr Satyryków”. Kierownikiem literackim teatru jest Stefan Otwinowski, reżyserem Jerzy R. Ward Bujański, opracowuje scenografię projektuje Andrzej Stopka. Premiera przedstawięcia satyryczno-muzycznego teatru pt. „Obecność obowiązkowa” została przyjęta w Krakowie z dużym uznaniem. Wykonawcami pierwszego programu krakowskiego teatru satyryków są: H. Chanicka, Maria Kołarbska, Jerzy Fito, Ewa Stołowska i Krystyna Marynowska oraz recytujący swoje wiersze literat Witold Zechenter.

HOMER WIECZNIE ŻYWI

Jak bardzo poezja Homera jest wciąż żywa i ilu posiada miłośników, przekonał się na wieczorne recytatorskim, poświęconym temu starożytnemu poecie.

Wielbiciele Homera liczenie zebrani w Muzeum Narodowym w Warszawie wysłuchali fragmentów z Iliady w nowym przekładzie M. Jeżewskiej. Recytacje zostały poprzedzone słowem wstępnym prof. K. Kumanieckiego.

MIGAWKI WIEDŃSKIE

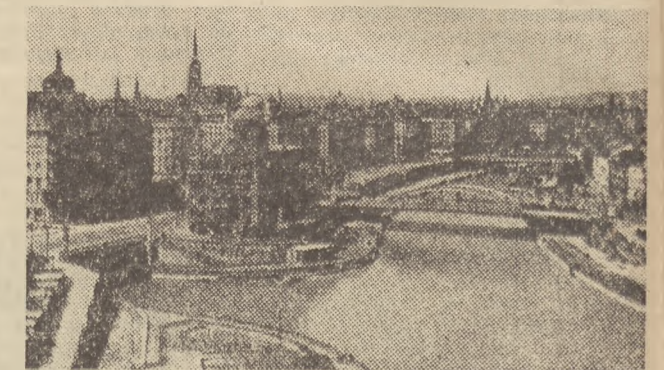
Przez świat płynie fala nadziei. Wielki Kongres Narodów w Obronie Pokoju działa mobilizująco na różne grupy społeczne ludzi różnych światopoglądów, orientacji politycznych i ideowych budząc chęć walki i wiarę w słuszność sprawy.

*

W Paryżu 19 wybitnych pisarzy francuskich podpisało manifest nawołujący do natychmiastowego przerwania zimnej wojny i pokojowego rozstrzygnięcia spraw spornych między narodami. Pod manifestem złożyli swe podpisy między innymi: Jean Paul Sartre, Jean Cocteau, Charles Spaak, Vercors, Charles Vildrac, Marcelle Auclair Aragon, Herze Basin, Elsa Triolet.

*

Pewnego rodzaju sensację w życiu artystycznym Wiednia stanowi premiera nie granej dotąd a należącej do spuścizny pośmiertnej — sztuki Horvatha: „Powrót Don Juana”. Utwór, którego treścią jest tragiczna sytuacja międzywojennego pokolenia młodzieży europejskiej, na tle obecnej sytuacji w Europie Zachodniej zyskuje szczególnie na aktualności.



Nadzwyczajne zalety formalne dzieła, głębia jego symboliki i doskonałość rzemiosła, pozwalają postawić Don Juana obok prac najwybitniejszych pisarzy austriackich dnia wczorajszego. Przynajmniej takiego zdania są krytycy wiedeńscy.

*

Najwybitniejsi przedstawiciele świata sztuki pozdrawiają zbliżający się Kongres Narodów w Wiedniu, i wzywają wszystkich ludzi, którym sprawa pokoju nie jest obca, do zamianowania na swej jedynomyślności.

We Francji wypowiedzieli się najwybitniejsi artyści, przedstawiciele różnych kierunków sztuki: Marcel Carné — znakomity współczesny reżyser filmowy — twórca „Ludzi za mgłą” i „Les enfants de Paradis”; Noël-Noël, znany debiści i u nas aktor sceny i ekranu; Gerard Philippe — najświeższy i najbardziej młodszy — artysta dramatu i filmu, niezapomniany Fabryca z „Pustelni Parmeńskiej”, sławny tancerz Serge Lilar i młody najpopularniejszy w świecie piosenkarz Yves Montant.

Oczywiście, przytoczenie nazwisk wszystkich artystów, którzy zabierali głos w sprawie Kongresu, przekracza możliwości krótkiej notatki dziennikarskiej.

*

W ratuszu wiedeńskim otwarto niewielką, ale urządzoną z smakiem, wystawę, która ma zobrażać nowe formy estetyki stosowane we współczesnych rozwiązaniach architektonicznych.

W szeregu ciekawie ułożonych fotomontaży i plansz ukazano oryginalne a jednak nie zrywające z tradycją sposoby ozdabiania domów mieszkalnych, szkół, zakładów pracy. Nowe materiały zdobnicze, takie jak szkło, metal, tkanina, skóry, ceramika znajdują tu wielokrotnie zastosowanie. Wystawa dowodzi jak bardzo można podnieść estetykę nowoczesnych konstrukcji przez zastosowanie światła, barw i roślin.

*

Na miejsce obrad Kongresu Pokoju wybrano jedną z największych sal koncertowych Wiednia, tę salą w której niedługo wykonywali swe dzieła Brahms, Berlioz, Ryszard Strauss.

Jest chyba coś symbolicznego w takim właśnie wyborze miejsca przeznaczonym dla wielkiej sztuki — miejscem manifestacji solidarności narodów.

*

Massimo Bontempelli, jeden z najświetniejszych umysłów współczesnych Włoch, znany i u nas z przykładów swych książek — choćby uroczej „Wycieczki na tece” — wyjął w specjalnym wywiadzie jak bardzo ważny dla intelektualistów całego świata będzie wiedeński Kongres Pokoju. Oczekujemy — powiedział Bontempelli — nowych dzieł poetych nie jako obraza i atak, ale jako współpraca i współdziałanie ludzi.

Aktualia KSIĘGARNIANE

W KSIĘGARNIACH panuje tuż wzmocniony przedświąteczny ruch. Władomo — książka jest najodpowiedniejszym prezentem na gwiazdkę dla wszystkich od sześciu do dziewięćdziesięciu dziewięciu lat.

Szczególnym powodzeniem cieszą się wydawnictwa młodzieżowe. Ale jak tu wybrać? Ostatni rok przyniósł tyle nowości i wznowień z dziedziny literatury dziedziny imendZreszta — dziecięcej zarówno polskiej jak i zagranicznej; liczne są zwłaszcza tłumaczenia z książek radzieckich. — Mój synek, proszę pani, ma osiem lat. Interesuje się fizyką, przepada za podręcznikami, może pani coś poradzić — pyta stroskany ojciec.

Zacznijmy więc przegląd książek dla dzieci najmłodszych, w wieku przedszkolnym, i dla rozpoczynających naukę w szkole.

Julian Tuwim, świetny poeta, jest nie tylko czytany przez dorosłych. Napisał on pełne fantazji, skrzące się humorem, a co najważniejsza, prawdziwie poetyckie wiersze dla dzieci. „Czytelnik” wydał pięknie ilustrowane przez Ha-Gę „Cuda i dziwy”, „Pan Maluszkiewicz i wielorob” (z rysunkami Szancera), „Zosie samosie”.

Oko przyciąga barwnie i estetycznie ilustrowana przez Olę Słemaszkową książka Marszalka „Wesołe czyżki”. Jest to zabawna historyjka napisana bardzo rytmicznym wierszem, nadaje się do głośniego czytania lub chóralnych recytacji.

Miła niespodzianka dla dzieci od 6-8 lat będą książeczki Lucyny Krzemienieckiej, wydane przez Naszą Księgarnię (autorka otrzymała w tym roku za swą działalność na polu literatury dziecięcej Nagrodę Premiera) — „Jak to nad Bałtykiem bywa” — opowieść o życiu rybaków na Helu lub „O tym jak się rzep psiego ogona przyczepił”.

Uroczę bajki Puszkina, oparte na motywach ludowych, zachwycają napewno młodego czytelnika. Estetycznie wydane przez „Naszą Księgarnię” wyszły niedawno: „Bajka o śpiącej królewnie i ślepiu junakach” oraz „Bajka o Carze Soldarze”. Jeśli już mowa o bajkach, to wspomnieć trzeba konieczne prześliczne opowiadanie o drewnianym Burelino — To-

stoją pt. „Złoty klucz” — przełożone doskonałym wierszem przez J. Tuwima (wydane nakładem „Czytelnika”), oraz o pięknie ilustrowanym przez J. M. Szancera „Koniku garbusku” Jerszowa (Książka i Wiedza). Zawsze chętnie przyjmowane i czytane przez dzieci są dowcipne wiersze Brzechwy — nie wiem które to już wznowienie — „Opowiedział dzieciom sobie” z ilustracjami Ha-Gi i „Stonka i Bronka” graficznie opracowane przez J. M. Szancera. Obie wydane przez Naszą Księgarnię.

E. Szeiburg-Zarembina jest wciąż lubiana przez dzieci. „O Sobiepanku i Samolubku” zajmująca i pożyteczna historyjka dla przedszkolaków — wysmiewa egoistów, pouczając jednocześnie o sile gromady. Przyda się szczególnie dla rozkapryszonych jedynaków. Tej samej autorki zakładem „Czytelnika” ukazały się: „Najmilsi”, „Lech, Czech i Ruś”, „Rycerze Tatr”.

Nie sposób w tak krótkim przeglądzie wyczerpać wszystkich wydawnictw dla najmłodszych. Dlatego wspomniamy tylko te, które w tej chwili przychodzą na pamięć. Niewątpliwie, dużą wartość wychowawczą posiadają książki o tematyce przyrodniczej, zreszta bardzo chętnie czytane przez dzieci starsze (w wieku szkolnym 7-14 lat). Uczą kochać zwierzęta, poznawać tajemnice ich życia, a przede wszystkim w sposób łatwy przyswajalny i zajmujący podają podstawowe wiadomości z zakresu przyrody. Będą zatem nieocenioną pomocą w nauce. Tu wspomnieć należy wznowienie uroczych opowiadań Dygańskiego. Już drugie pokolenie młodzieży z przejęciem czyta opowieści z życia zwierząt i ptaków tego świetnego nowelisty. Wyszły one pt. „Zbiór nowel” wydane przez Naszą Księgarnię. Zajmujące opowiadanie Bianki „Tajemnice puszczy leśnej” niejednemu młodemu czytelnikowi otworzy oczy na cały otaczający świat, ukazuje nieznane życie ptaków i zwierząt, nauczy opiekować się zwierzętami i szanować przyrodę. Tęgo samego autora ukazały się „Dziupla”, „Siskorki” wydane przez Naszą Księgarnię.

Napewno też każdego chłopca czy dziewczynkę zainteresuje

książka E. Storchy „Łowcy mamutów”. Autor sęga aż do epoki dyluwialnej — poprzez dzieje jednej gromady łowieckiej czytelnik dowiaduje się o życiu i obyczajach ludzi z tej epoki. Pełna niewymuszonego humoru jest książka Grabowskiego o zwierzętach domowych „Kochany zwierzynek”.

Nie można przy tym wylenczyć pominąć książek bardzo pożytecznych — książek uczących od najmłodszych lat cenięcia wartości pracy ludzkiej. Tutaj dla dzieci od 6-9 lat znajdziemy ciekawą, o dużej wartości poznawczej książkę W. Grodzieńskiej „Najprawdziwsza bajka”. Autorka w sposób niesłychanie zajmujący, w baśniowej formie opowiada o pracy pisarza, grafika, ukazuje obraz pracowni graficznej, drukarni. Również oparta o motyw prac jest książka S. Aleksandrzaka „Obrazki”, napisana ładnym wierszem.

Któż z małych chłopców nie interesuje się podręcznikami do odległych krajów, nie marzy o poznawaniu dalekich łądów, nieznanymi ludźmi. Niejednemu młodemu czytelnikowi przyciągnie książka G. Kublickiego „Odkrywcę Antarktydy” (wyd. MON) — o wyprawie do kółka podbiegunowego, lub oryginalne opowiadania o tematyce chińskiej „Pieciu braci Lin” (oprac. zbiorowa) o zwyczajach i pracy ludzi w Chinach. Tu należałoby także o wznowieniu „W pustyni i puszcy”, książki wciąż pasjonującej naszą młodzież, jak również o drugim wydaniu ciekawej powieści Meissnera „Sześciu z Daru Pomorza”. Dzieci obdarzone bogatą fantazją pasjonują się ciętymi starzymi Verne'm. Na naszym rynku wydawniczym ukazały się wznowienia „W 80 dni dookoła świata” (wyd. przez Naszą Księgarnię) i „Dzieci kapitana Granta”.

Na zakończenie tego niepełnego przeglądu dodać należy książkę dla młodych techników Wiśniewskiej „Budowa modeli kolejowych” (wydawnictwo Naszej Księgarni) i dla zapalonych sportowców — Isakowej „Na torach lodowych” — Isakowej. Jest to autobiografia wielokrotnej mistrzyni świata w jeździe szybkiej na lodzie.

Anna Jankowska